

GRIMWALKER GRIMWALKER

GORĄCZKA



ŚMIERĆ W DECEMBER

GRIMWALKER
GRIMWALKER
ŚMIERĆ W DECEMBER

G O R A C Z K A

Przekład Witold Biliński



Tytuł oryginału: *Döden i December 2: Febern*

Przekład z języka szwedzkiego: Witold Biliński

Copyright © Caroline Grimwalker, Leffe Grimwalker, 2023

This edition: © Word Audio Publishing International/Gyldendal A/S, Copenhagen 2023

Projekt graficzny okładki: Nils Olsson

Redakcja: Ewa Penksyk-Kluczkowska

Korekta: Magdalena Mierzejska

ISBN 978-91-8054-028-5

Konwersja i produkcja e-booka: www.monikaimarcin.com

Wszelkie podobieństwo do osób i zdarzeń jest przypadkowe.

Word Audio Publishing International/Gyldendal A/S

Klareboderne 3 | DK-1115 Copenhagen K

www.gyldendal.dk

www.wordaudio.se

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Cytat

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

*Gdyby December było seryjnym mordercą, stanowiłoby połączenie Dextera
Morgana i Johna Wayne'a Gacy'ego.*

– Kim Cordell

1

Kiedy Antonio Alvarez przecina siatkę nożycami do prętów, jego serce wali jak szalone. Alvarez nie ma już nic do stracenia i wie, że tak czy inaczej umrze.

Chce po prostu umrzeć, jak trzeba.

Pada na płask w wysokiej trawie, kiedy przez parking powoli przejeżdża samochód ochroniarzy. Czuć zapachy ziemi i psiego gówna, trawa jest mokra po nocnym deszczu i chłód przenika mu przez ubranie aż do skóry.

Podnosi się powoli, kiedy samochód znów chowa się za hutą.

„Pieprzone dranie” – myśli i wraca do przecinania siatki. To jedyne miejsce, którego nie obejmują kamery. Kiedy Alvarez dostanie się do środka, będzie musiał bardzo uważać. Jeśli go zauważą, to będzie koniec.

Przeciska się przez otwór i ciągnie za sobą ciężką torbę. Wstaje, zawieszając ją na ramieniu i jęczy z bólu. Dwa miesiące, powiedział lekarz. Tyle mu zostało.

Kiedy o tym usłyszał, cały świat spadł na niego jak brudny deszcz. On, który i tak nie miał już po co żyć, był żywym trupem. „Wyjedź gdzieś, zrób coś, co zawsze chciałeś” – powiedział mu w Sztokholmie lekarz, patrząc na niego ze współczuciem. „Zrób coś, co będzie ważne dla innych”.

Właśnie taki ma zamiar. Wybrać się w ostatnią podróż i zabrać ze sobą tak wielu z tych bydlaków, ile tylko mu się uda.

„Ackermannowie”. Na samą myśl o tym nazwisku czuje w ustach gorzki smak.

Przeczytał gdzieś, że najbardziej niebezpieczny człowiek to ten, który nie boi się śmierci. Ten, który utracił wszelką nadzieję.

Antonio nie uważa się za groźnego, ma w sobie czystą miłość. Miłość, która nie wie, dokąd się skierować. To jedyne, co pozostało, wszystko inne mu odebrano.

Skulony przebiega przez parking, przeskakując od samochodu do samochodu i z trudem łapiąc oddech. Ma wrażenie, że uda i kolana zaraz mu eksplodują, a te dwieście metrów są dla niego niczym maraton.

Ciężarówka podjeżdża z warkotem i zatrzymuje się w pobliżu. Wydaje z siebie ostatnie westchnienie i milknie. Prawdopodobnie kierowca spróbuje przespać się kilka godzin przed rozpoczęciem zmiany o szóstej.

Alvarez sprawdza godzinę, serce wali mu szybciej, niż zegarek tyka. Mężczyzna przymyka oczy i stara się odpocząć. Ciężko oddycha, a jego ciało bardzo chce się zwinąć w kłębek. Mówi mu, żeby się położył, zostawił to wszystko, bo i tak wziął na siebie niemożliwe zadanie.

– Cholera – przeklina cicho do siebie i wstaje. Znow zaczyna biec, czując, jak AK47 obija mu się o plecy.

Kiedy dopada stalowych drzwi, wstukuje kod. Zdobycie go zajęło mu dwa tygodnie, wyciągnął go od jednego z pracowników, który upił się w Lyckoslanten.

Zamek wydaje z siebie ciche kliknięcie i Antonio wchodzi do środka. Rozgląda się za kamerami, staje prosto i rusza pewnym krokiem, jakby był właścicielem tego miejsca. Jeszcze pięćdziesiąt metrów i będzie mógł trochę odpocząć.

Zatrzymuje się i nasłuchuje. Dźwięki maszyn, wentylacji szumiącej tak samo jak powietrze w jego tchawicy, jakiś alarm dobiegający z wodomierzy, jego własny ciężki oddech. Antonio stoi bez ruchu, starając się spokojnie oddychać i spowolnić tętno.

„Nie mogę teraz zemdleć”.

Ściera z czoła zimny pot i zaciska powieki. Czuje, że gdyby się poddał, nie żyłby już od tygodnia, ale myśli o Marii dają mu siłę i każą mu trzymać się życia tak, jak dziecko ściska swój ukochany kocyk.

Potrzebuje jeszcze tylko kilku godzin, a potem już wszystko może się skończyć.

Rusza dalej, torba strasznie ciąży mu na ramieniu. Przegląda w myślach jej zawartość. Kładzie ją na posadzce, otwiera i po raz trzeci sprawdza.

Wszystko jest na miejscu, to, czego potrzebuje, by wywrócić do góry nogami całe December, ale przede wszystkim by powalić na kolana tych bydlaków Ackermannów.

Już wie, gdzie może się ukryć do czasu, aż przyjdzie dzienna zmiana. Do chwili, kiedy będzie mógł tu wywołać chaos. Kiedy wreszcie będzie mógł pokazać całemu światu, kim są Ackermannowie.

Jeśli dostanie tę szansę, usunie z powierzchni ziemi całe ich DNA.

2

„Nie, tylko nie znowu to”.

Juliette Cortas mruga oczami i wciąż nie ma pewności, czy to sen, czy jawa, ale szybko zdaje sobie sprawę, że znów to zrobiła. Jest przemarznięta, a wokół panują takie ciemności, że musi się poruszać po omacku. Ma na sobie tylko majtki, cała pokryta jest gęsią skórką. Szorstka i prawdopodobnie brudna. Dwa dni temu obudziła się w lesie mokra i umazana gliną.

„Znowu się zaczęło”.

Czuje, jak bolą ją kostki lewej ręki. Dotyka ich. Są poranione. Biła się z kimś? Może zmasakrowała jakiegoś nieszczęśnika?

Uderza w coś barkiem i krzyczy. Zatrzymuje się i bada otoczenie rękami. To ściana. Dopiero teraz czuje w nozdrzach zapach przetrawionego piwa. Kuca i dotyka ceramicznej podłogi, która się lepi. Wącha opuszki palców i smród moczu sprawia, że kobieta odrzuca głowę w tył i szlocha.

Jest w toalecie. Tyle udało jej się stwierdzić. Biorąc pod uwagę zapach piwa, zgaduje, że to Lyckoslanten.

– Ty pieprzona idiotko – szepcze i potrząsa z dezaprobatą głową. Przesuwa się nieco naprzód i sztywnieje, kiedy dwa metry przed sobą zauważa mroczną sylwetkę.

Traci oddech, a cisza dzwoni tak, że aż oglusza.

„Kurwa, ktoś tu jest”.

– Jestem z policji – mówi zdecydowanie ostrym głosem, bardzo nieprzekonująco.

Postać nie odpowiada. Juliette się wzdryga.

– Czego chcesz? – pyta i robi krok naprzód.

Tętno jej skacze, bardzo chciałaby mieć przy sobie jakąś broń. Podnosi zaciśnięte pięści i przygotowuje się do walki na śmierć i życie. Mroczna

postać również robi krok do przodu i Juliette szykuje prawy prosty.

Jeszcze jeden krok i są już bardzo blisko siebie. Serce Juliette niemal wylatuje jej z piersi, kiedy zauważa płonące oczy przeciwnika. Uwielbia horrory, ale nie chciałaby się znaleźć w jednym z nich w rzeczywistości. Drży tak mocno, że aż boli ją skóra.

Wkłada w cios wszystkie siły, celuje prosto w twarz tego drania, a kiedy trafia, tamten rozpada się na tysiąc kawałków.

– Co, do chuja...?!

Juliette zdaje sobie sprawę, że biła się sama ze sobą. Stoczyła walkę z lustrem.

– Kurwa – mówi, szukając kranu. Jednocześnie chce jej się śmiać i płakać. Tętno zwalnia, Juliette zmywa z siebie szczyzny i krew. Zakręca kran, owija papierem kostki, żeby powstrzymać krwawienie, i podchodzi do drzwi, które – jeśli dobrze pamięta – powinny być po prawej stronie. Dawno jej tu nie było. Przestała przychodzić, kiedy miała już dość przygód na jedną noc po pijanemu. Całe to miejsce cuchnęło wstydem.

Otwiera drzwi i od blasku światła chciałaby zassać oczy do czaszki. Mruga kilka razy i upewnia się, że jest w Lyckoslanten, nie ma jednak pojęcia, jak się tu dostała.

Kiedy podchodzi do drzwi wejściowych, zaczyna rozumieć. Najwyraźniej wybiła szybę. Dlaczego nie włączył się alarm? Może by wtedy się obudziła i uciekła stąd.

Przez wiele lat często lunatykowała, ale potem się to uspokoiło. A przynajmniej tak myślała. Zdarzało się wcześniej, że budziła się w domu brudna i pokaleczona, z rzeczami, które prawdopodobnie komuś ukradła. Była przekonana, że tę część życia ma już za sobą. Teraz jednak w to zwątpiła. Tydzień wcześniej ocknęła się we własnym samochodzie. A jeszcze wcześniej oprzytomniała w Brunnsparken. Postanowiła porozmawiać o tym z Kim Cordell, ale jak dotąd za każdym razem coś nagle stawało na przeszkodzie.

„Zachowuję się jak kretynka” – myśli i wygląda przez drzwi na dwór. Jest prawie naga, a do domu ma dwa kilometry. Jest bardzo wcześnie

rano, to akurat dobrze, ale zawsze znajdzie się jakiś idiota, który musi o tej porze wyprowadzać psa albo biegać.

Dotyka palca. Obraca obrączkę oura, która jest jej jedynym świadkiem. Po powrocie do domu sprawdzi w aplikacji, gdzie była.

Znów wchodzi do pubu. Ściąga ze stołu obrus, który ma teraz udawać jej ubranie. Owija nim górną część ciała i wychodzi w noc.

Jutro położy się spać w ubraniu. Powinna była wcześniej o tym pomyśleć. Kiedyś, gdy zdarzało się to często, przywiązywała sobie rękę do ramy łóżka, ale jakieś dwa lata temu lunatykowanie się skończyło. Po tamtym zdarzeniu.

Teraz, jak widać, wróciło i znowu trzeba będzie przestrzegać procedur bezpieczeństwa.

Parasomnia.

Jej małe przekleństwo i kara za...

„Kurwa!”

Szybko chowa się za zaparkowanym volvo, kiedy do jej uszu dociera szum zbliżającego się samochodu. W kuckach czeka, aż pojazd zniknie. Czuje wstyd. W świetle latarni widzi swoją rękę pokrytą zakrzepłą krwią, to po ciosie w szybę. Zaciska ją kilka razy, jednak nic nie wskazuje na to, by cokolwiek sobie poważnie uszkodziła. Papier owinięty wokół drugiej ręki pociemniał od krwi.

– Świetna robota, Julle. Prawdziwa z ciebie pieprzona profesjonalistka – szepcze i wstaje. Wzdryga się, kiedy od wiatru ciało znów pokrywa się gęsią skórką.

Rusza przez noc w stronę domu, nie mając pewności, czy chce się dowiedzieć, gdzie była. Może tylko mieć nadzieję, że tym razem nikomu nie zrobiła krzywdy.

3

– John? – pyta zaskoczony Jimmy, wchodząc do zimnego budynku posterunku policji w December. Jest wpół do szóstej rano, a towarzyszy mu śmierzący pies Bulten.

– Coś się stało?

„Czy coś się nie stało?” – myśli John i odstawia zdjęcie Sary i Mattiasa, w które wpatrywał się jak w transie przez ostatnie pół godziny.

Nie mógł spać. Wczoraj gównem chyba z całej Szwecji trafiło w gigantyczny wentylator, a potem w senne przemysłowe miasto December, przy czym w jakiś niepojęty sposób John znajdował się w środku tego wszystkiego. Siedem ofiar wojny gangów. A do tego NOA, Krajowy Oddział Operacyjny, który tu przybył i po prostu uratował im tyłki.

– Tak, wiesz... nie mogłem spać, uznałem więc, że równie dobrze mogę tu przyjść i trochę popracować – odpowiada John, marszcząc nos, kiedy mija go owczarek ze swoim nieodłącznym obłokiem odoru starego psa.

Jimmy zatrzymuje się koło biurka Johna i ciężko wzdycha z rękami wciśniętymi w kieszenie spodni. Ma krzaczaste ciemnoszare wąsy, które żuje, kiedy się nad czymś zastanawia.

– Wiesz, o co mi chodzi. Łotry nie miewają urlopu, więc jak my możemy sobie na niego pozwolić?

John kiwa głową, powstrzymując słowa, które ma ochotę wypowiedzieć – o tym, że Jimmy bardziej by się przydał, gdyby raz na jakiś czas wyszedł na ulicę, a nie siedział całymi dniami na posterunku, czekając na emeryturę. Milczy jednak. Poza Vallem i Moną tylko Jimmy nie traktuje Johna tak, jakby uważał, że najlepiej by zrobił, gdyby wrócił do Sztokholmu z podkulonym ogonem, razem ze swoim stresem pourazowym.

Valle, który miał nocną zmianę, stoi przy recepcji i pakuje torbę. Pozdrawia Jimmy'ego ręką i cofa się o krok, kiedy mija go Bulten. Potem za-

kłada torbę na ramię i podchodzi do biurka Johna.

– No proszę – mówi. – Była to dziwnie spokojna noc.

– Dziwnie? – odpowiada Jimmy. – Kiedyś w tym miasteczku noce zawsze były spokojne. Ludzie byli wykończeni po pracy, wypijali dwa piwka i szli do domu. Nikt nie miał czasu na zajmowanie się głupotami. Dopiero ostatnio wszystko się popsulo, kiedy pojawiły się gangi strzelające do siebie nawzajem i produkujące prochy w opuszczonych szkolnych budynkach.

Macha ręką ze zniechęceniem.

– Sam już nie wiem, co się stało z moim starym zadupiem.

Rusza za swoim psem, żeby nastawić pierwszy w tym dniu dzbanek kawy.

Valle robi gest sugerujący, że on też już pójdzie, na co John unosi podbródek.

– Hej, Valle...

Kolega się zatrzymuje.

– Co jest?

– Pamiętasz, jak kiedyś rozmawialiśmy, że nie ma tu żadnych... – Robi ręką w powietrzu nieokreślony gest. – No wiesz...

Na twarzy Vallego pojawia się uśmiech, w którym widać jednocześnie rozbawienie i zmęczenie.

– Pedalów, John. Możesz po prostu mówić „pedały”. To było brzydkie słowo w ubiegłym stuleciu. O ile nie używają go homofoby. Odzyskaliśmy je, rozumiesz. A jeśli chcesz być supernowoczesny, możesz spróbować „osoby LGBTQ”. Ale ciągle dochodzą do tego nowe litery, więc sam tego nie używam.

John stara się opanować. Odchrząkuje, zasłaniając usta pięścią.

– No właśnie. Pe... homoseksualiści.

Valle się śmieje.

– Dawaj dalej.

– W mieście o wielkości December, w normalnym układzie pe... osób LGBTQ... powinno być mniej więcej dwieście pięćdziesiąt. A ty narzeka-

łeś, że jest tylko pięć, z czego cztery już zajęte. I to dlatego jesteś samotny.

Valle garbi się ze smutkiem.

– Wiem – odpowiada. – Ale czy przyglądałeś się temu miastu? December to nie Sztokholm, John. Ten normalny układ, o którym mówisz, zmienia się mocno, kiedy tylko ludzie mają okazję stąd zwiać i żyć gdzie indziej. Może to nie jest Rosja czy Polska, ale December jest w wielu dziedzinach... konserwatywne. Koleś, który odkryje, że jest gejem, ma zwyczaj prosty wybór: wynieść się stąd albo tajniaczyć.

– Okej – zgadza się John, pochylając się nieco do przodu. – Ale ja chyba mam dla ciebie... wskazówkę, czy jak to nazwać.

– Wskazówkę? – Valle z początku wygląda, jakby nie zrozumiał, a potem pojmuje. – Ha! Twój gejradar zaczął piszczeć? Tego to muszę posłuchać. Kto to taki?

– Asystent lekarza medycyny sądowej, wiesz który?

Kiedy Valle z kamienną twarzą przetwarza tę informację, John czuje, jak w brzuchu z niepokoju zaciska mu się supeł. Może w dzisiejszych czasach nie wolno wyczuwać orientacji seksualnej u innych? Czasami mu nie wychodzi z ludźmi, chociaż bardzo się stara. Mruga. Czy właśnie, jak ostatni kretyn, zniszczył wyjątkowo krótką relację zawodową z Vallem?

– No wiesz... – ciągnie, ale wyraźnie słyszy nerwowość we własnym głosie.

Valle podnosi rękę, żeby go uciszyć, i odpowiada szeptem.

– Harry ze szpitala to mięczak, John. Nie pedał. Mam nadzieję, że rozumiesz, że to nie to samo?

John właśnie ma wykrztusić przeprosiny, kiedy Valle dodaje jeszcze ciszzej:

– Ale nie przestawaj, rozglądaj się. Bogowie wiedzą, że na froncie randkowym potrzebuję wszelkiej pomocy. Do zobaczenia wieczorem.

Ściska mocno jego rękę i opuszcza przebudowany kościół, który dziś jest posterunkiem policji w December.

„Jasne. Idiota. Jestem po prostu największym idiotą w całej północnej Europie” – myśli John i krzywi się, przypominając sobie, co właśnie się

wydarzyło. Im więcej nad tym się zastanawia, tym bardziej go to męczy. Aby więc przenieść uwagę na jedyną rzecz na świecie, która jest jeszcze gorsza, patrzy znów na zdjęcie. A potem na leżącą obok kartkę papieru. Tę, na której odwrocie jest adres Johna i Sary w Sztokholmie. Ten, z którego dwa miesiące wcześniej zniknęła bez śladu jego żona razem z synem Mattiasem.

„Kurt Strand. Czy to ty ich porwałeś, pieprzony draniu?”

Wyszukiwanie w policyjnych rejestrach nie dało żadnych rezultatów. Jedyną żyjącą krewną Kurta jest siostra, a kiedy John po drodze przejeżdżał obok jej mieszkania, nikogo nie było w domu. Zapukał, mimo że była dopiero piąta rano, odczekał dość długo, ale nikt nie otwierał.

Prawdopodobnie trochę o nim wie Kim, ale są to raczej stare informacje. Kiedy myśli o Kim, w kąciку jego ust pojawia się nieśmiały uśmiech, co sprawia, że się otrząsa. Jeśli będzie dalej siedział zanurzony w nieznanych emocjach i dręczących myślach, to oszaleje.

„René – myśli. – Muszę porozmawiać z Reném Hoffmannem, to w końcu on od razu naprowadził mnie na właściwy tor”.

W szklanej klatce Jimmy'ego Bulten podnosi głowę, puszcza bąka i wydaje z siebie jęk ulgi. John wstaje i zabiera swoją skórzaną kurtkę. Jimmy wydaje się nawet nie zauważać, że się poruszył.

Na ulicy stoi oznakowany radiowóz, który mu wypożyczyli, pokryty cieniutką warstwą szronu. Audi wciąż stoi w warsztacie. Podobno Viktor sprawnie przy nim pracuje, wykorzystując swoje magiczne umiejętności. John ma taką nadzieję, bo to stare, wymiętolone volvo to żaden raj w porównaniu z jego audi A6. Wskakuje do środka, przeklina, że będzie musiał skrobać szyby, i podkręca ogrzewanie siedzenia. Po chwili po kabinie rozchodzi się zapach odmrożonych gotowych posiłków, które zdecydowanie za długo tu leżą. Przypomina sobie, żeby posprzątać samochód, ale wie, że o tym zapomni.

Pół godziny później dziękuje pielęgniarce, która wskazała mu korytarz, gdzie może znaleźć Reného Hoffmanna, lekarza naczelnego szpitala w December i lekarza medycyny sądowej.

Stoi kilka metrów dalej, pochylając się nad chudą, mniej więcej ośmioletnią dziewczynką z blond loczkami i z różowym gipsem na jednej ręce. Jej buzia jest spuchnięta od płaczu, ale rozjaśnia się, gdy Hoffmann podnosi obie dłonie, pokazuje, że są puste, a potem szybkim i zdecydowanym ruchem wyciąga zza jej ucha lizaka. Wdzięczny uśmiech matki jest szeroki i szczery, a kiedy odchodzą i lekarz też ma ruszyć w drogę, John woła:

– Hoffmann, poczekaj chwilę.

Lekarz się odwraca i chyba się cieszy na widok Johna.

– Pan Wagner, co za miła niespodzianka. Co tu robisz tak wcześnie? – Odwraca zegarek i stwierdza, że dobiega dopiero szósta rano.

John macha ręką.

– A ja myślałem, że w tych czasach dzieci nie powinny jeść cukru.

René uśmiecha się smutno.

– Podwójne złamanie kości promieniowej i łokciowej po upadku z wysokości – mówi. – Nieprawdopodobnie bolesne. Długo się zrasta. Jeśli ktoś zasługuje na odrobinę słodczy, to właśnie ta dziewczynka.

– Rozumiem. Ja... – W chwili, w której ma wyjaśnić, po co przyszedł, ma pustkę w głowie. Tak jakby życie było wielką dmuchawą do liści, a mózg Johna składał się z poskręcane go, martwego listowia. – Ja... – Wzdycha i zaciska powieki.

– Co jest? – pyta lekarz.

John potrząsa głową.

– To ta pieprzona mgła mózgowa. Jest tysiąc razy gorsza od migreny. Ból mogę wytrzymać. Ale... Ja... co ja, kurwa, miałem powiedzieć?

Lekarz próbuje pomóc, wskazując na prawą rękę Johna.

– Może ma to coś wspólnego z tym?

John patrzy na kartkę, którą zdążył już bezwiednie zgnieść. Mgła powoli się rozprasza i John wraca na właściwe tory.

– Tak, rzeczywiście. Dzięki. Przepraszam, czasem... do niczego się nie nadaję.

– Wywołane przez stres objawy neurologiczne to nie przelewki, John. A to, że do niczego się nie nadajesz, to bzdura, jeśli wierzyć plotkom.

W czym więc mogę ci pomóc?

John wyciąga rękę z kartką.

– To zostało znalezione u Kurta Stranda. Z tyłu jest adres mój i Sary w Sztokholmie. Kiedy ostatnio tu byłem, odniosłem wrażenie, że wiesz coś o tym gościu. A ja muszę go znaleźć.

– No tak, Kurt, tragiczna historia, ale zupełnie nie niezwykła. Popularny facet z obiecującą karierą sportową doznaje kontuzji i cała jego przyszłość rozpada się na drobne kawałki. Ja sam miałem być mistrzem pingla, a jednak zostałem lekarzem. Życie jest dziwne, no nie?

– Prawda, prawda – mówi John, myśląc o własnym losie. – Wiesz o nim coś więcej?

– Był tu parę razy, ale nie mogę powiedzieć, po co. Tajemnica lekarska. Na pewno rozumiesz. Za to spotyka się z Mullem. Kolejna tragiczna postać. Narkotyki.

– Mulle?

– Marcus Sten. Nazywają go Mulle, ale nie mam pojęcia dlaczego. Odśzukaj go, a na pewno znajdziesz też Kurta.

– Dzięki, to wszystko?

– Tak, uważaj na siebie.

John dziękuje lekarzowi, a wracając do samochodu, wpatruje się w kartkę z otoczonym serduszkiem imieniem Sary. Tęskni za nią tak bardzo, że boli go całe ciało.

Podnosi wzrok i patrzy na jesień w December. Znajdzie Kurta, choćby to była ostatnia rzecz, jaką zrobi, w swoim życiu.

4

Palce Kim Cordell niemal wibrują, gdy wysyła na stronę patrolobywatelski.net zdjęcia, które zwinęła z posterunku policji. Czuje, że robi coś zakazanego... i tak właśnie jest. Gdyby Mona i inni wiedzieli, czego się dopuściła, musiałyby wynieść się z miasta.

„A poza tym to na pewno karalne”.

Trzyma wskaźnik myszy na przycisku „Opublikuj”. Może jeszcze się wycofać i olać to wszystko. Powinna tak zrobić.

Jej oddech przyspiesza. Może powinna się napić, żeby nie działać tak impulsywnie, mieć czas na przemyślenie tego. Kiedy coś się już opublikuje, nie da się tego usunąć.

– *Fuck it* – mówi. Żyje się tylko raz, a to tutaj jest ważniejsze od niej.

„Klik!”

Pozostali członkowie rzucają się na materiał jak sępy i od razu zaczynają się spekulacje.

Niektórzy ludzie, żeby dostać swojego kopa adrenaliny, skaczą ze spadochronem albo uprawiają rafting. Kim jest adminką na forum true crime dla detektywów amatorów: patrolobywatelski.net.

Odchyła się i patrzy, jak komentarze pojawiają się niczym seria z karabinu maszynowego. Zawsze tak jest. Najpierw następuje chaos, a potem wyłaniają się szczegóły. Na początek eliminacja, a następnie odnalezienie wątku i skupienie się na faktach.

„Sępy” – myśli, chociaż sama zachowuje się tak samo. W tej chwili jest boginią na tym forum i dostaje tak potężne potwierdzenie swojej wartości, że aż ją to bawi.

Forum ma trzy tysiące członków, większość jest na nim od samego początku, a najbardziej chore jest to, że niektórzy z nich to jej najlepsi przyjaciele, choć nigdy się z nimi nie spotkała. Nie zna nawet ich prawdziwej

tożsamości, tylko ksywy. Sama nazwała się Bathory, bo to jej ulubiony zespół. Reszta ma podobne pseudonimy, zainspirowane nazwami kapel, seriali albo postaci, kilku używa nazwisk seryjnych morderców takich jak Dahmer. Mroczne nicki, ale tak to już jest w tej grupie, trzeba mieć chore i mroczne poczucie humoru, żeby radzić sobie z tymi wszystkimi chorymi i mrocznymi rzeczami, które się tu ogląda, czyta i analizuje.

„I w których się bierze udział” – myśli, krzywiąc się.

Bierze łyk kawy. Na dworze jesień znęca się nad budynkiem, a deszcz bombarduje kroplami okno.

Kim nie czuje się dobrze w tym domu – dostała go od Parszywca po rozwodzie – a jednak jest to najbardziej przytulne miejsce, jakie zna. Dobrze jest tak bezpiecznie i miło siedzieć w domu, kiedy na zewnątrz szaleje paskudna pogoda. December jest najpiękniejszą jesienią, kiedy zbocza gór eksplodują feerią kolorów. Kim wstaje, bierze kubek i podchodzi do okna. Wygląda na zewnątrz i przypomina sobie, że musi rozpakować kartony po przeprowadzce.

Na ulicy ludzie spieszą się skuleni, żeby jak najmniej przemoknąć. Niektóre miejsca są nierozzerwalnie związane z porami roku. Ośrodki sportów zimowych albo letniska, wiosenne miasteczka albo miejsca dobre przez cały rok. December, wbrew nazwie, to jesień. Pewnie głównie dlatego, że w dolinie jest tak ciemno. Deszcz jednak splukuje cały niepokój, a drzewa rozmyślają o tym, żeby wiosną narodzić się na nowo i posprzątać cały syf, który nagromadzi się przez zimę.

Kim to też jesienna istota. Psycholożka sprawiająca, że jej klienci zrzucają z siebie zwiędłe liście sztywnych przekonań, których trzymają się od lat. Uwielbia patrzeć, jak ludzie przekraczają swoje mentalne granice.

To... i stronę patrolobywatelski.net.

Znów siada przy komputerze i patrzy na zegarek. Pierwszy klient przychodzi za godzinę, kierownik z huty Ackermannów, którego skazano na obowiązkowe uczestnictwo w sesjach kontroli agresji. To jego ostatni raz, ale jej zdaniem powinien jeszcze trochę to pociągnąć. Zna ten wzorzec. Na kilka miesięcy się uspokoji, a potem znowu zacznie tłuc żonę.

To jest w jakiś sposób związane z tym miastem. Przemoc i kultura milczenia. Tkwią w korzeniach. Albo nawet głębiej. W wodach gruntowych. Wszyscy, którzy tu dorastają, wsysają to z mlekiem matki. Małe przemysłowe miasteczko, w którym robotnicy wykonujący niebezpieczną i ciężką pracę za dużo piją i za swoje rozczarowania wyżywają się na najbliższych.

Mieszkańcy December sami się leczą już od prawie czterystu lat. Opowieści o górskich trollach i wodzie w studniach to w pewnym sensie to samo. Barwne historie, które mają przykrywać ponurą rzeczywistość. Kim musi to przyznać, mimo że sama ostatnio broniła December przed atakami chłopca z miasta, Johna Wagnera. Odgrywała adwokata diabła. Bo tak właśnie się robi, wie o tym przecież. Ostatecznie mechanizmy psychologiczne nie są jej obce.

Kiedy jednak inny psychologiczny mechanizm sprawia teraz, że na myśl o Johnie Wagnerze na jej twarzy pojawia się uśmiech, sama sobie daje kuksańca i szybko skupia myśli na czym innym.

Po agresywnym kierowniku porozmawia z Juliette Cortas, która umówiła pilną wizytę. To na pewno będzie ciekawe.

Z komputera dobiega dźwięk i Kim czyta nowy komentarz o tym, że w jeziorze pewnie znajdują się kolejne ciała i powinno się tam wysłać nurków, żeby przeczesali całe dno.

Kim też tak uważa, ale wie, że zasoby są bardzo ograniczone. Szefowa policji Mona Ott Öster już teraz robi co może, by zmieścić się w budżecie.

„A jednak zatrudniła Johna Wagnera”.

Na samą myśl o nim znów ściska jej się żołądek. Jest między nimi napięcie, a ona nie może pozwolić, żeby ich relacja posunęła się za daleko. Nie zniesie kolejnego zawodu.

„Zapomnij. Nigdy więcej”.

Inny członek forum wstawia zdjęcia zaginionych osób z December, których nigdy nie odnaleziono. Umorzone sprawy. Píše, że na pewno leżą na dnie jeziora, czekając na odkrycie.

Kim przygląda się pięciu fotografiom. Jedno dziecko, trzy kobiety i dwóch mężczyzn. Prawdziwi ludzie, których sprawy przeniesiono do archiwum przy akompaniamencie plotek, że zniknęli z własnej inicjatywy

lub odebrali sobie życie gdzieś w lesie. December ma wyjątkowo wysoki wskaźnik liczby samobójstw. Rzeczywiście tak jest. Jeśli jednak chodzi o akurat te osoby, coś tu się nie zgadza. Nie sprawiają wrażenia samobójców.

Świerzbią ją palce. Kładzie je na klawiaturze i zaczyna pisać. Dzieli się swoimi przemyśleniami z innymi, zdejmując z siebie ciężar odpowiedzialności.

Na tym się teraz skupimy – pisze. – Aż zdarzy się coś innego. Pięć zamkniętych spraw, które policja zupełnie odpuściła, a wszyscy ci ludzie zniknęli w December.

Kolejne pełne emocji komentarze. Są tacy jak ona, uzależnieni od adrenaliny. Pasjonaci morderstw. Sama czuje się jak ćpunka, kiedy zaczyna grzebać w sprawie mężczyzny, który zaginął. Martin Lang. Pięćdziesiąt lat, bezrobotny po wywaleniu z huty, rozwiedziony, ojciec dwójki dorosłych dzieci. Kim tyle o nim wie, a teraz dzieli się z innymi tym, co znalazła w jego teczce. Za parę dni będą o nim i pozostałych wiedzieć wszystko, a przynajmniej tyle, ile uda się znaleźć.

Lang. Może jej poprzednik ma teczkę o nim? Pewnie...

Kim bierze głęboki oddech. Musi sama sobie przypominać, żeby za bardzo się nie angażować. Gdyby była bogata i nie musiała pracować, to siedziałaby na tym forum przez całą dobę. Czasami, w niektóre weekendy, właśnie to robi.

Wciąga internet jak kokainę, czyta o morderstwach, widziała tyle zła, że odcisnęło to na niej trwałe piętno. Robi się od tego smutna i markotna, co widać, kiedy wraca do swoich klientów.

Jej praca jest mroczna i hobby też. „Można powiedzieć, że to zachowania autodestrukcyjne” – myśli z uśmiechem. Ale po tym, jak Parszywiec ukradł jej nerkę, a potem odszedł, musiała znaleźć sobie jakiś cel w życiu. Z wściekłości i rozczarowania zaczęła poszukiwać w sieci informacji, jak popełnić morderstwo doskonałe i jak dręczyć ludzi.

Trochę potrwało, zanim zdała sobie sprawę, co robi, i odpuściła. Zrozumiała, że jest samotna, a życie jeszcze się nie skończyło. W końcu, kiedy trochę się uspokoiła, udało jej się uporządkować wszystkie myśli.

Jedna z nich nie daje jednak o sobie zapomnieć i Kim wciąż bardzo chce coś zrobić w tej sprawie. Odzyskać pewnego dnia władzę. To jedyna rzecz, którą może odebrać Parszywcowi.

„A może nie?”

5

Pod ciężarem przemocy ukrywającej się w torbie Antonio czuje się jak sama śmierć. Ma poczucie, że może coś zmienić. Odebrać ludziom życie, żeby świat stał się lepszy. Maria prawdopodobnie nigdy by mu na to nie pozwoliła, ale ona była zdecydowanie zbyt dobra.

On też próbował być dobry, ale non más. Dość już tego. Muszą być konsekwencje, tylko wtedy prawda może zwyciężyć.

– Wybacz mi, *querida* – szepcze. Robi znak krzyża, całuje kostkę i kieruje wzrok w górę ku niebu, którego nie widzi.

„Już czas!”

Kiedy Antonio Alvarez wychodzi ze swojej kryjówki w schowku na miotły, ciało ma napięte do granic możliwości. Wzdycha i wyciąga kałaznikowa oraz pistolet kalibru 9 milimetrów, który dostał od tych szaleńców z gór.

Jedyną dobrą stroną Toma O’Connora jest to, że nienawidzi Ackermannów. Antonio nie wie, co dowódca milicji ma do tej rodziny, ale w zasadzie nie jest to takie ważne.

„Ich trucizna jest wszędzie”.

Ackermannowie to plugastwo, które kała wszystko, co w świecie jest dobre. Wszystko, co Antonio kiedykolwiek kochał. A teraz posmakują swojego własnego zabójczego lekarstwa.

Przeładowuje broń automatyczną, w tym dźwięku słycać siłę. Puls przyspiesza, adrenalina rozplywa się po całym ciele i Antonio jest już gotowy. Nie przejmuje się umieszczoną wysoko w rogu kamerą. Wszedł do środka, jest już za późno.

„Oto nadchodzi kara, dranie”.

Idzie w stronę części biurowej, jakiś facet w pomarańczowym kombinezonie przesuwają się, opada mu szczęką, kiedy zauważa Antonia i to, co

niesie. Alvarez nie zwraca na niego uwagi, to nie robotnicy zniszczyli jego życie i całe December. Ten facet próbuje tylko wiązać koniec z końcem, jak wszyscy inni.

Jest ósma i wszyscy kierownicy, a także większość pracowników administracyjnych, będą siedzieć w pomieszczeniu socjalnym. Antonio planował to od tygodni.

Wchodzi w następny korytarz, gdzie wita go miły, kojący zapach kawy. Kładzie rękę na klamce uchylonych drzwi do pokoju i uśmiecha się do własnych myśli.

„No to macie niezapowiedzianą wizytę”.

Potem otwiera drzwi na oścież. Burczy mu w żołądku, jakby był głodny, kiedy wchodzi do środka i oddaje trzy strzały w sufit.

Chaos potrafi być taki piękny.

Ludzie krzyczą, rzucają się na podłogę albo po prostu sztywnieją, widząc go w pełnym kamuflażu. To może lekka przesada, ale ubranie jest ważne, kiedy ma się przekazać wiadomość.

O tym, że to on jest groźny... tym jednym razem.

„O tym, że to ja jestem śmiercią...”

– Zamknąć się! – krzyczy Antonio i wszyscy posłusznie milkną.

Jedna z kobiet upuściła na podłogę stalowy termos z kawą. Dwóch grubasów w źle skrojonych garniturach siedzi w rogu, obejmując się niezdarnie. Kiedy Antonio robi dwa kroki do przodu, szkło zgrzyta mu pod butami, bo kule trafiły prosto w jedną ze świetlówek pod sufitem. Wokół słychać szlochy i jęki. Odgłosy paniki, które sprawiają mu rozkosz. Poczucie niepewności jest aż namacalne, niektórzy pewnie wciąż starają się zrozumieć, co się dzieje. Tak jak ta kobieta stojąca bez ruchu z otwartymi ustami obok leżącego termosu. Wskazuje na nią lufą pistoletu.

– Klękać przy ścianie! Wszyscy mają wyjąć swoje telefony i położyć przed sobą!

Nikt się nie rusza, Antonio strzela więc jeszcze raz w sufit. Wtedy kolejno wypełniają jego rozkazy. Jak obrzydliwe szczury, którymi zresztą są, szybko podchodzą do ściany na drżących nogach, tłumiąc płacz. Antonio

ich liczy. Czternaście osób plus wisienka na torcie. Najstarszy syn Ackermannów.

„Co za niesłychany fart”.

Wskazuje lufą w stronę młodszej blondynki z lekko wystającym brzuchem.

– Zbierz komórki i połóż je na stole.

Dziewczyna wygląda blado, jakby w każdej chwili miała zemdleć, ale kiwa głową i niepewnie wstaje. Przenosi telefony na trzy razy, układa je na stole, nie śmiać na niego spojrzeć.

– Jesteś w ciąży? – pyta Antonio, a ona szybko potwierdza skinieniem głowy.

– Czwarty miesiąc.

Wyciera nos przedramieniem. Załamana. Wie, że życie jej i wszystkich pozostałych jest w jego rękach. Antonio ma ochotę na nią nawrzeszczyć. Zapytać, jakie to uczucie, kiedy role się odwracają. Jeśli ona jest w tym pojoju, to jest jedną z nich. Powstrzymuje się jednak.

– Weź krzesło i usiądź przy ścianie.

Staje przed nimi i bierze głęboki oddech. Dopiero teraz znalazł się w sytuacji, z której nie ma odwrotu. Wszystko, co się od tej pory wydarzy, będzie tylko gorsze. Koniec jest jednak nieznany. Odebrałby sobie życie, ale nie chce wylądować w piekle. Jest oczywiście religijny. Nie ma całkowitej pewności, czy Bóg istnieje, ale jeśli tak, to głupio byłoby ryzykować.

Zamyka drzwi do pokoju i przekręca zamek, obserwując jednocześnie ustawionych przy ścianie ludzi. Każdej akcji towarzyszy reakcja i wkrótce cały świat się dowie, kim są Ackermannowie i za co odpowiadają. O wszystkich cichych morderstwach i podyktowanych chciwością czynach. Jeśli ktoś ma trafić do piekła, to oni.

Ktoś krzyczy. Szlochanie odbija się od ścian. Kiedy idzie w stronę płaczącej osoby, niektórzy opuszczają głowy i wbijają wzrok w podłogę. Antonio patrzy na zegarek. Podchodzi do torby, wyjmuje z niej telefon i statyw. Ustawia je pośrodku pokoju i włącza streaming na żywo. Otwiera kompu-

ter i podłącza kamerę. Otagowuje wszystkie redakcje wiadomości i przygląda się ludziom stojącym przy ścianie. Tylko jeden z nich się uśmiecha.

„Pieprzony Carl Ackermann”.

Poczucie wyższości na pewno ma w genach, ale ten uśmiezek nie wydaje się pełny nadziei. Raczej jest rozbawiony. Antonio powstrzymuje impuls posłania serii w zadowoloną twarz tego drania. Wszystko, co reprezentuje sobą ta rodzina, to czyste zło.

„Teraz również jego rodzina poczuje, jak to jest, kiedy ktoś, kogo Kochają, idzie w objęcia śmierci, a oni gównem mogą na to poradzić”.

Staje za kamerą i filmuje zakładników. Powolutku, żeby ująć wszystkie emocje. Ciche szlochanie z lęku przed śmiercią, drżenie i płytkie oddechy. Na koniec sam staje przed obiektywem. Bierze głęboki oddech.

– Eva i Rolf Ackermannowie. Przyjdźcie tu, bo inaczej Carl zginie razem z całą resztą tych pracowników. Macie godzinę, a potem zaczynam ich zabijać, jedno po drugim.

6

Mona pozdrowiła Johna zmęczonym porannym kiwnięciem głowy, woczyła się do biura szefa i zamknęła drzwi. John siedzi przy swoim biurku z kartką, na której widnieje nazwisko kogoś, kto kiedyś był najlepszym przyjacielem Kurta Stranda. Marcus „Mulle” Sten.

Juliette wzięła tego ranka wolne. Pustka przy jej biurku wydaje się Johnowi dziwna, kiedy przepisuje na czysto notatki z rozmowy z lekarzem. Nagle przychodzi mu do głowy pewien pomysł. Może przez to, że pomyślał o Reném, jednocześnie patrząc na kartkę o Kurcie. Podnosi słuchawkę i dzwoni do centrali szpitala, gdzie mobilizując cały swój urok osobisty, przedstawia się jako policjant prowadzący śledztwo. Patrzy na inną kartkę i czyta z niej na głos, pytając, czy może mają pacjentkę o nazwisku Ella Strand. Osoba na drugim końcu linii to młoda dziewczyna, która z radością potwierdza, że rzeczywiście, Ella Strand leży na onkologii, czy ma go do niej przełączyć?

– Nie trzeba, ale dla dobra śledztwa – mówi John swoim najbardziej przekonującym głosem, nie precyzując, czego to śledztwo dotyczy – byłoby dobrze, gdybyś mogła mnie powiadomić, gdyby ktoś odwiedził Elle Strand.

Fantastycznie miła pielęgniarka zgadza się chętnie również na to, a kiedy John odkłada słuchawkę, czuje się już nieco lepiej niż przed chwilą.

Co za szczęśliwy traf, że ona tam rzeczywiście leży. René na pewno właśnie to miał na myśli, zastrzegając się, że nie może o tym rozmawiać ze względu na tajemnicę lekarską. To dlatego John miał to przeczucie. I dlatego nikt nie otwierał, kiedy pukał do jej drzwi.

„Instynkt gliniarza. Może nie całkiem zniknął w tej mgłę mózgowej”.

Kiedy jednak John rozmawiał z Reném, robił to jako osoba prywatna. Dlatego dostał takie odpowiedzi, jakie dostał. Gdy występuje w roli poli-

cyjanta, to zupełnie inna para kaloszy i nawet nie musiał specjalnie przekonywać pielęgniarki. Jeśli Kurt odwiedzi siostrę, John się o tym dowie.

Axel Luo rozmawia gniewnie przez telefon w swojej szklanej klatce, przyciskając komórkę barkiem do ucha i polerując jednocześnie swojego łososiowego roleksa, a nowicjusz Frank wydaje się staczać jakąś walkę z dziurkaczem w recepcji, kiedy nagle na posterunku rozpętuje się piekło.

Telefony wszystkich obecnych zaczynają dzwonić jednocześnie. Komórki dźwięczą i wibrują, a wszystkie linie w centrali błyskają jak pieprzona choinka. Bulten się otrząsa, wstaje i zaczyna uporczywie, chrapliwie szczeekać. Migrena Johna natychmiast rusza do tańca w rytmie sadystycznego marsza, tak jakby jakiś morderczy klaun przechadzał mu się w czaszce, bezlitośnie kopiąc ją od środka.

– Co mówisz? – słychać Franka próbującego przekrzyknąć dzwoniące piekło.

John zauważa, że dzwoni również jego komórka, a także telefon na biurku. Podnosi słuchawkę, ale ledwo słyszy osobę po drugiej stronie.

– Czy może pan powtórzyć? – pyta, szukając jednocześnie desperacko w kieszeni tabletki.

„Zamach terrorystyczny. To musi być zamach terrorystyczny”.

Na drugim końcu posterunku Jimmy wychodzi ze swojego akwarium z twarzą poszarzałą jak popiół. Wygląda, jakby zawzięcie przeklinał pod swoimi wielkimi jak u morsa wąsami, kiedy kieruje pilota w stronę płaskiego telewizora wiszącego na ścianie, wybiera funkcję „smart” i przechodzi na YouTube.

Johnowi troszkę imponuje to, że Jimmy wie, jak włączyć YouTube. Rezygnuje z dalszego prowadzenia rozmowy przez telefon, kiedy zdaje sobie sprawę, że dzwoni reporter. Wyłącza dzwonki komórki i aparatu na biurku i w końcu udaje mu się wygrzebać tabletkę. Wkłada ją do ust razem z kawałkiem ciastka i polyka, popijając wystygłą kawą.

W miarę jak wszyscy odbierają swoje telefony, chaos przechodzi w gwar, ale kiedy Jimmy odtwarza na telewizorze film, cała aktywność ustaje.

To transmisja na żywo. Na ekranie widać niewysokiego, pulchnego mężczyznę w wojskowym ubraniu, który z ponurą miną mówi coś prosto do kamery. W jego twarzy jest jednak coś dziwnego. Nie wygląda zdrowo. Kiedy przejeżdża kamerą po otoczeniu, wszyscy na posterunku wstrzymują oddech.

– Kurwa, przecież to w hucie! – wybucha Jimmy.

– Czy to jest...? – Frank nie kończy zdania.

– Mamy tu zakładników – stwierdza Mona, która wyszła ze swojego biura i zatrzymuje się, widząc, co dzieje się na ekranie.

– Włącz dźwięk, Jimmy.

Jimmy wściekle wpatruje się w pilota.

– Dźwięk jest włączony...

– Zdecydowanie – mówi głośno Axel w swoim boksie. – Znamy sytuację, ale bardzo dziękuję za telefon.

Odkłada słuchawkę i natychmiast wychodzi.

– Co to za niedojebany, pieprzony półmózg postanowił przeżyć swoje ostatnie dni jako internetowy idiota?! – wrzeszczy. – Jak nic osobiście wsadzę mu ten karabin w dupę!

Mimo napiętej sytuacji John nie może powstrzymać uśmiechu, który wypełza mu na usta. Axel Luo ma najlepsze na świecie podejście do rozmówców. A pod tą uprzejmą maską ukrywa się najbardziej na świecie kreatywny umysł, jeśli chodzi o przeklinanie. Gdy jednak uwaga wszystkich znów skupia się na ekranie, gdzie siedzą i płaczą kobiety i mężczyźni, a filmujący macha pistoletem, jakby chciał ich po kolei pozabijać, uśmiech na twarzy Johna szybko gaśnie.

– Ktoś musi zadzwonić do Ackermannów – mówi Mona, stając przy biurowym krześle Johna i wpatrując się w ekran.

– Kto to taki? – pyta John.

– Rolf i Eva Ackermannowie to najpotężniejsi ludzie w mieście – odpowiada szefowa drżącym głosem. – To oni są właścicielami huty. Która daje pracę połowie miasta. A ten tam... – wskazuje jedną z osób na ekranie – ... to ich najstarszy wnuk, Carl.

– Kurwa, kurwa, kurwa mać – szepcze stojący przy kontuarze recepcji Frank. Wciąż dzierżąc w jednej ręce dziurkacz, a drugiej słuchawkę telefonu.

Na ekranie widać spoconego, wściekłego mężczyznę. Stoi przodem do kamery. Jakby o czymś opowiadał. Obraz zaczyna się zmniejszać i przesuwając do lewego górnego rogu, a jednocześnie w centrum pojawia się dwójka dziennikarzy.

– Czego on żąda? – pyta blondynka o poważnym spojrzeniu.

– Nikt tego nie wie – odpowiada siwowłosa mężczyzna w szarym garniturze.

– Nasi lokalni reporterzy są w drodze, przypuszczam, że podobnie jest ze wszystkimi innymi kanałami informacyjnymi. Wygląda na to, że ten mężczyzna wygłasza na żywo jakąś mowę, ale albo zapomniał włączyć dźwięk, albo jego mikrofon nie działa. Tak więc obraz jest, a dźwięku nie ma.

– I wydaje się, że sprawca o tym nie wie?

– Zgadza się.

– Musimy tam jechać, wszyscy – mówi Mona. – Zadzwońię do centrali i poproszę o negocjatora i grupę zadaniową.

John czuje, jak ściska mu się żołądek.

– Sprowadzenie tutaj grupy zadaniowej i negocjatora zajmie cholernie dużo czasu.

Nagle wpada na pomysł.

– Olać to. Zajadę po Kim.

– Kim? – pyta Jimmy z niezadowoleniem w głosie. – Tę ruda, która zawsze wtrąca się do naszych dochodzeń?

Kiedy Mona zwraca się do Johna, mruży powieki.

– Dlaczego?

– No, halo. Jest przecież psycholożką, do cholery. Dokładnie tak samo jak negocjatorzy ze stolicy. A w tej chwili lepsza taka niż żadna, no nie? Jeżeli ktoś może uspokoić takiego szaleńca, to właśnie ona. A może chcesz wysłać Franka, żeby z nim pogadał? A może ty się tym zajmiesz, Jimmy?

Albo ja, który ciągle tracę wątek? Jeszcze lepiej: przecież Axel może z nim porozmawiać. Nic tak nie uspokaja zestresowanego człowieka jak nazwanie go skurwysynem.

Mona potrzebuje tylko kilku sekund, żeby zdecydowanie kiwnąć głową.

– Okej. Zrób to. Przywieź Kim. – I podnosi głos: – Słuchajcie, wszyscy. Dowodzi John.

– Co? Nie! Co ja takiego zrobiłem?

– Tak będzie. Musimy jechać do huty, i to już. Bóg jeden wie jak wielu ciekawskich, reporterów i innych zwabiła tam transmisja tego wariata. Obowiązuje pełne wyposażenie ochronne. A decyduje John, zrozumiano? Ja dołączę, gdy skończę rozmawiać ze stolicą.

– Jimmy, zostaniesz tu na posterunku i zobaczysz, czego uda ci się dowiedzieć o sprawcy – rozkazuje John. – Każdy telefon może oznaczać jakąś wskazówkę co do tego, kim on jest. Ktoś przecież musi go znać, to nie jest największe miasto w Szwecji.

Jimmy kiwa głową i siada przy centrali z notatnikiem, po czym zaczyna odbierać telefony.

Minutę później John, zakładając kamizelkę kuloodporną, zauważa, że ból głowy zelżał. Tak jakby jedynym skutecznym środkiem było zagrożenie życia, swojego lub innych.

„Zupełnie jakbym był zdrowy tylko wtedy, gdy dzieje się coś straszego”.

7

– Ach, Juliette, siadaj. Chcesz kawy?

Juliette rozgląda się po gabinecie Kim tak, jakby każdy mebel mógł ją ugryźć, a przynajmniej nagrywać wszystko, co ona mówi i robi. Ramiona trzyma ciasno przy ciele, ale jest wyprostowana.

– Chętnie – odpowiada. – Wzięłam godzinę wolnego, żeby tu przyjść – dodaje tonem, który zdradza więcej niż same słowa.

– Oj. – Kim ma nadzieję, że przybrała właściwy ton. – Wygląda na to, że rzeczywiście musisz o czymś porozmawiać. Usiądź, a ja za chwilę przyniosę kubek.

Przed opuszczeniem pokoju rzuca zaniepokojone spojrzenie na pokrytą plastrami prawą rękę Juliette, a ta chowa ją w rękawie bluzki i się rozgląda.

– Co ci się stało?

– Nic, trenowałam tylko z workiem z piaskiem, chyba powinnam była je obandażować.

– Okej – mówi Kim i odchodzi.

– Zmieniłaś gabinet? – woła Juliette w stronę aneksu kuchennego, gdzie Kim czeka, aż przeleci woda w ekspresie.

Wznosi oczy do nieba, ale postanawia ułatwić sobie życie i użyć białego kłamstwa.

– Tak – potwierdza, wyjmując filiżankę. – Dopiero kilka dni temu. Chcesz mleka? Cukru?

– Nic – odpowiada Juliette. – Lubię czarną.

Kilka minut później siedzą naprzeciw siebie, pijąc w ciszy kawę. Juliette sprawia wrażenie, jakby nie wiedziała, od czego zacząć, Kim przejmuje więc inicjatywę.

– Z tego co wiem, niezbyt często bierzesz wolne. Naprawdę odnalazłaś się w pracy policjantki, prawda?

Juliette kiwa głową.

– Już od piątego roku życia wiedziałam, że chcę być gliną.

– Masz wielu policjantów w rodzinie?

Juliette potrząsa głową.

– No nie. – Jej głos cichnie jak smutny szept. Odchrząkuje i się prostuje. – Raczej przeciwnie. Głównie zbóje. W domu w Libanie. A potem tutaj w Szwecji.

– Rozumiem. Ten zawód to dla ciebie sposób na to, by odgrodzić się od dziedzictwa, które twoim zdaniem nosisz na barkach.

Spojrzenie Juliette na dwie sekundy staje się niepewne. Potem pojawia się miękki uśmiech.

– Nigdy nie patrzyłam na to w ten sposób. A ty w dwie minuty trafiasz w sedno? Kurwa, dobra jesteś.

Kim kiwa głową i współczuje Juliette. Superglinie. Zastanawia się, co jeszcze kryje się w jej korzeniach. Wie jednak, że nie przyszła po to, żeby rozmawiać o krewnych, bo inaczej pociągnęłaby ten wątek. Kim przypomina sobie krótką rozmowę, którą odbyły na posterunku, przerwana, gdy nagle pojawił się John, ścigany i postrzelony przez Lwy.

– Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, wspominałaś, że lunatykujesz.

„Bingo” – myśli, kiedy w sekundę mowa ciała Juliette zupełnie się zmienia, a ona sama zaczyna się wiercić.

– Dokładnie, ja... właśnie to robię.

Nerwowy uśmiech. Łyk kawy. Juliette pochyła głowę na bok tak, że wielki, okrągły kolczyk dotyka jej barku. Znów się uśmiecha. Znów pije.

– Czy to nowe zjawisko?

Juliette szybko potrząsa głową.

– Nie. Ale myślałam, że już się tego pozbyłam.

Telefon wibruje w kieszeni Kim. Ktoś dzwoni. Ignoruje to jednak. Czas pacjenta należy do pacjenta.

– Czy przeżyłaś ostatnio wyjątkowo silny stres? – Kim traci wątek, gdy telefon znów wibruje. Ktoś nieustannie próbuje się z nią połączyć. Dalej to ignoruje i się prostuje.

– Stres mógłby wyjaśnić...

Znów dzwonek i Kim ma ochotę głośno zakląć.

Kiedy ma właśnie wyjąć komórkę, żeby ją całkiem wyłączyć, Juliette zaczyna mówić:

– Mam obrączkę oura. Stres? Na pewno, ale...

Teraz to Juliette nagle przerywa. Ale zamiast zignorować telefon, wyjmuje go i odbiera. Kim ma teraz szansę zająć się swoim. Widzi siedem nieodebranych połączeń od Johna. I właśnie znowu dzwoni. Kim patrzy na przerażoną Juliette i odbiera.

– John? Jestem w połowie...

– Jadę po ciebie – przerywa jej John. – W hucie wzięto zakładników i nie mamy negocjatora. Potrzebujemy kogoś, kto ma twoje skille. Ktoś musi spróbować uspokoić tego szaleńca, a ty masz najlepsze kwalifikacje w całym December. Czy możesz być przed gabinetem za dziesięć minut?

Serce podskakuje jej w piersi, a adrenalina rozlewa się po całym ciele. Tak jakby przez całe życie czekała właśnie na tę chwilę.

„Chcą mnie. Policja wzywa mnie do aktywnej sprawy!”

Kim patrzy na Juliette siedzącą w drugim fotelu.

– Nie trzeba.

– Co, do chuja? – wybucha John. – Mówię ci przecież, że...

Teraz kolej Kim, żeby przerwać.

– Mam swój samochód i zabiorę ze sobą Juliette.

Patrzy pytająco na pacjentkę, która pojmuje i kiwa głową.

– Jedź od razu tam, John, a my dotrzemy, jak najszybciej.

8

– Ene, due, rabe...

Antonio Alvarez niecierpliwi się i spogląda na swoich zakładników, celuje w nich lufą karabinu i próbuje ocenić, kogo należy zastrzelić jako pierwszego. Siedzą jak przerażone zwierzęta w równym rządku pod ścianą i trzęsą się, popatrując bojaźliwie na boki. Powinno mu być ich żal, czuje to gdzieś w głębi duszy. To jednak niemożliwe.

„Každy z was macza w tym palce”.

Ale teraz już wszyscy wiedzą. Powiedział narodowi szwedzkiemu, co zrobili Ackermannowie i cała reszta osób, która za tym stoi. Oznacza to, że zrealizował to, po co tu przyszedł... Prawie.

Znów zastanawia się, co dalej robić. Nie może się wycofać. Jeśli minie więcej niż godzina, będzie musiał zastrzelić chociaż jedno z nich. Ale kogo? Ciężarna kobieta bardzo przypomina mu jego żonę Marię. Chłopak Carl jest w tej chwili zbyt cenny.

Jego wzrok pada na Manfreda Stolta, jednego z dwóch grubasów w nieforemnych garniturach. Dyrektor finansowy na pewno doskonale wie, co Ackermannowie zrobili. Żongluje liczbami od czasu, kiedy trzydzieści lat temu zaczął dla nich pracować. Nie ma szans, żeby nie wiedział o wszystkim. O tej brudnej tajemnicy, która kosztowała znacznie więcej niż pieniądze. Zbiera mu się na płacz, ale zdecydowanie powstrzymuje łzy.

„Poza tym Manfred jest stary, i tak może w każdej chwili umrzeć”.

Antonio patrzy na zegar i ściera zimny pot z czoła. Minęło czterdzieści minut i nikt nie zadzwonił. Komórki pracowników wyłączył, żeby ich bliſcy się denerwowali i wywierali presję na Evę i Rolfa Ackermannów.

– Jaki masz dalszy plan? – pyta nagle Carl Ackermann irytująco pewnym siebie tonem.

Antonio podchodzi do niego, zachowując jednak pewien dystans, żeby nie dać się zaskoczyć, gdyby któremuś z nich przyszło coś głupiego do głowy.

– A jak myślisz?

– Nie wiem, dlatego pytam. Moja rodzina potrafi być bardzo bezwzględna.

Antonio przechyla głowę na bok.

– Ale ty nie?

– Nie, o sobie zdecydowanie bym tak nie powiedział. Prawdę mówiąc, jest dokładnie przeciwnie.

– To znaczy?

– Dzięki mnie rodzina zaczęła przestawiać hutę na bardziej ekologiczną produkcję. To ja jestem przyszłością, chociaż oni jeszcze nie całkiem to rozumieją. Mam też trochę władzy. Mogę dopilnować, żeby znowu cię zatrudnili, jeśli na tym polega twój problem.

Antonio śmieje się cicho.

– Nie słuchałeś? Nigdy nie pracowałem u Ackermannów, a cała twoja familia to dupki. Ty też. Na przykład uszło ci na sucho zabicie tej dziewczyny.

Carl Ackermann podnosi podbródek, a jednocześnie jego oczy ciemnieją.

– To był wypadek.

– Naprawdę tylko wypadek? Słyszałem, że jechałeś po pijaku, a w jej krwi znaleziono narkotyki. Ile miała lat? Szesnaście? Chuj wie, co można by odkryć, gdyby zacząć jeszcze głębiej grzebać w twojej przeszłości. Może kolejne martwe dziewczyny?

Carl zaciska zęby, a Antonio wzdycha.

– Słyszałeś, co właśnie powiedziałem światu. Ackermannom wszystko uchodzi na sucho. Bo każdy się boi, że przeniosą fabrykę zagranicę i wszyscy stracą pracę. Bo są bogaci jak krezusi. Pewnie myślisz, że jesteś inny, ale jesteś tylko ich młodszą wersją. Rozpieszczoną.

– Nic o mnie nie wiesz – rzuca gniewnie Carl.

– A ty nie wiesz nic o mnie, przestań zgrywać psychologa.

Antonio patrzy na zegar. Za dziesięć minut będzie musiał pokazać, że nie żartuje. Podchodzi o dwa kroki w kierunku Carla i przyciska lufę do jego głowy. Robi w duchu znak krzyża.

– Trzy... – mówi, przyciskając lufę jeszcze mocniej.

Carl napina mięśnie i wstrzymuje oddech.

– Dwa...

Antonio nie może jeszcze dać się ponieść poczuciu władzy. Przyjemności płynącej z tego, że Carl widzi, jaki jest bezbronny. Że nie ma teraz żadnego znaczenia, ile pieniędzy ma jego rodzina.

– Jeden...

– Okej, rozumiem! – krzyczy Carl i unosi wyprostowane ręce. Zaciska mocno powieki i chowa głowę w ramionach.

– Dobrze.

Antonio się cofa. Odwraca głowę i patrzy na swoją transmisję. Dwa-dziesiąt tysięcy widzów. Sześć tysięcy kliknięć. Trzy tysiące komentarzy. Liczby cały czas rosną. „Dobrze” – myśli i odwraca się znów w stronę zakładników.

– To czego chcesz? Dlaczego to wszystko robisz? – pyta ciężarna kobieta.

Antonio się jej przygląda. Czy nie słyszała, co właśnie powiedział? A może myśli, że to nic wielkiego? Kiedy ocenił ją uważniej wzrokiem, uznał, że jednak zupełnie nie przypomina Marii. Eleganckie ubranie, złoto na palcach i szyi. Wygląda na zamożną, a to, co ma na sobie, przekracza wartość roczne zarobki Antonia. Maria była bogata w inny sposób. W duszy. W śmiechu i miłości. Ale złota ani eleganckich ciuchów nigdy nie miała. Tak właśnie wygląda loteria życia.

– Robię to w imię sprawiedliwości.

– Co to znaczy? – Kobieta cały czas głaszcze się po brzuchu, jakby chciała uspokoić swój płód, ale prawda jest taka, że stara się uspokoić samą siebie.

– Już powiedziałem temu szczeniakowi. Ackermannowie myślą, że mogą robić, co im się podoba, i wszyscy mogą im skoczyć. Każdy człowiek jest tyle samo wart, ja tak uważam i społeczeństwo też tak uważa, ale rzeczywistość wygląda zupełnie inaczej. Każde z nas ma inną wartość. Inną moralność. Ackermannowie to przestępcy, ale uchylają się od odpowiedzialności. Gdybym ja robił takie same rzeczy, to już od dawna bym siedział.

– Ale teraz jesteś przestępcą.

– Zależy, jak na to patrzeć.

– Wcale nie, jest albo tak, albo tak. Nie ma tu szarej strefy. – Carl drapie się po karku.

– Wszystko w życiu to szara strefa, dobrze o tym wiesz.

– Co to ma znaczyć?

Antonio potrząsa głową. Maria powiedziała kiedyś, że nie da się wygrać dyskusji z cabrón – jak zwykle miała rację. Znów patrzy na zegar.

„Zostało pięć minut”.

Antonio włącza czwarty kanał, który nadaje na żywo. Patrzy przez chwilę na reporterkę stojącą przed hutą i mówiącą do owiniętego futerkiem mikrofonu. Opowiada, że pojawia się mnóstwo informacji o sprawie, ale nie wiadomo, dlaczego to robi. Gniew zalewa go jak gorąca lawa.

„Do cholery! Nikt mnie nie słucha!” Ścisza telewizor. Ma nadzieję, że dali policji i Ackermannom numer jego komórki.

Sprawdza godzinę, patrzy do kamery, pokazując na zegarek, który dostał od Marii na dziesiątą rocznicę ślubu.

– Jeszcze minuta, a potem zaczną umierać. Jeden co godzinę, aż do stanu to, czego chcę.

Kieruje lufę w stronę zakładników.

– Ene, due, rabe... – zaczyna od nowa.

Wyliczanka się kończy, a lufa zatrzymuje się na Manfredzie Stolcie. Gdy Antonio strzela, wszyscy głośno krzyczą.

9

– Wiesz, co się dzieje? – pyta Juliette, kiedy wsiadają do auta Kim. Dotarła tu piechotą, a jej samochód został pod posterunkiem.

– Dzwonił do mnie John. Ktoś wziął zakładników u Ackermannów – mówi psycholożka, wciskając gaz do dechy.

– Do mnie dzwoniła z tym samym Mona – dodaje Juliette. – Dowodzi John Wagner. – Wznosi oczy do nieba. – Kowboj, który tu przyjeżdża i kocaczy. Myśli, że jest kimś.

– Czy to naprawdę najważniejsze?

Kim bardzo się stara, żeby obudzić w Juliette policjantkę, chociaż czuje, że właśnie dlatego jest zła na Johna, który tak po prostu dostał robotę na posterunku, gdzie Juliette od tak dawna była najważniejsza. Na szczęście jej słowa wywierają właściwy skutek, bo Juliette opanowuje się i skupia.

– No dobrze, ale dlaczego? Czy twój kowboj coś o tym powiedział?

– Nikt nic nie wie. – Auto sunie ulicą bezszelestnie. Powinna sobie kupić ten gadżet, dzięki któremu slychać, jak elektryczny samochód jedzie. Próbowała kilku modeli, a potem kupiła kię.

– Co? – Juliette przeładowuje swojego sig sauera, a Kim przechodzi dreszcz. To szczęknięcie oznacza śmierć i nic innego.

– Nie rozumiem.

– Ja też nie.

Kim nienawidzi broni. Uważa, że jest przedłużeniem impulsywności. Reprezentuje władzę, jakiej nikt nie powinien mieć.

„Zwłaszcza ja. Wtedy w tym mieście zrobiłoby się o co najmniej jedno mieszkańca mniej”.

Gdyby ludzie potrafili tylko lepiej się komunikować, wszystkim byłoby lepiej w życiu.

Czytała gdzieś, że policjanci w Anglii w dawnych czasach nigdy nie nosili broni, tylko pałki. Że między nimi a przestępcami panował pewnego rodzaju wzajemny respekt. Kiedy ktoś zastrzelił policjanta, bandyci brali sprawę w swoje ręce. Łapali mordercę i dostarczali go na posterunek. Wtedy nikt nie akceptował broni. Dziś świat wygląda inaczej.

– Zatrzymaj się przy posterunku – prosi Juliette. – Muszę coś zabrać.

Gdy wraca w kamizelce kuloodpornej i siada na tylnym siedzeniu, Kim zauważa podłużny futerał.

– To maleństwo załatwi tego drania – cieszy się policjantka, poklepując pokrowiec. Otwiera go, wyjmując trzy części karabinu snajperskiego i celownik optyczny, po czym składa to w całość.

– Nazywam go „habibi”.

Juliette głaszcze broń jak kochanka, a psycholożkę zaczyna boleć brzuch.

Kiedy docierają do fabryki, przy bramie stoją radiowozy. Za policyjną taśmą zgromadzili się chyba bliscy zakładników.

Niewielu Szwedów zna December, małe przemysłowe miasteczko ukryte w górach, ale po tym wszystkim będzie ono na ustach całego kraju.

Kim i Juliette wysiadają, podchodzi do nich Mona.

– Zastrzelił jednego zakładnika. Robi się gorąco.

Mona kiwa szybko głową w stronę Juliette, która przechodzi pod taśmą i biegnie na teren fabryki z karabinem na plecach, po czym ciągnie za sobą Kim.

– Ona będzie strzelać – mówi Kim.

Mona krzywi się z rezygnacją.

– Nie bez wyraźnego rozkazu... mam nadzieję.

Kiedy idą, ludzie wykrzykują pytania. Wszyscy są zaniepokojeni i przestraszeni, a gęstwa w brzuchu Kim robi się coraz większa.

Dochodzą do stróżówki, w której znajduje się coś, co można opisać jako nędzną centralę monitoringu.

– Czego on chce? A może oni?

– Nie wiemy. Ty masz się tego dowiedzieć. Ale sprawca chyba myśli, że wiemy. Wysłał coś, co wyglądało na dłuższą przemowę, tylko że nie było dźwięku.

Kim siada na krześle i patrzy na telefon. Wygląda, jakby był równie przestraszony i zdenerwowany jak ona. Nie ma do tego kompetencji. Jasne, jest psycholożką, ale nie negocjatorką. Gdyby chodziło o kogoś, kto zamierza popełnić samobójstwo, to inna historia. Ale coś takiego...? Nie ma żadnego doświadczenia z szalonymi przestępcami.

„Nie masz?” – szepcze z ironią jej mózg, przez co Kim zaciska zęby.

Mona kładzie na stole kartkę z nazwiskiem i numerem komórki. Na ekranie widać sytuację na żywo. Kim widzi mężczyznę o wyglądzie Latynosa ubranego w maskujący strój, trzymającego w rękach karabin automatyczny. Na podłodze przy ścianie leży starszy mężczyzna, martwy albo nieprzytomny. Widać nawet krew. Światło świetlówek odbija się w niej jak ostre błyskawice.

– Nie. Przepraszam. Nie dam rady – mówi Kim.

– Dasz radę. Jeśli ktoś może to zrobić, to tylko ty. Zapytaj go tylko, czego chce, zażądaj czegoś w zamian, zyskaj jak najwięcej na czasie i niczego nie obiecuj.

– Łatwo powiedzieć.

Kim dostaje zestaw słuchawkowy, Valle siada przy komputerze. Kim rozumie, że wszystko będzie nagrywane. Potem cała Szwecja będzie mogła to przesłuchać, a jeśli ona coś spieprzy, to zwalą to na nią. Życie wszystkich zakładników zależy tylko od niej. Rozgląda się za Johnem. Gdyby tu był, czułaby się bezpieczniej.

– Dasz radę – powtarza Mona, ale Kim wcale nie jest tego pewna. Kiwa głową do Vallego i bierze głęboki oddech, wybiera numer i odmawia krótką modlitwę do bogów.

John stoi w pewnej odległości od stróżówki, widział więc, jak kilka minut wcześniej pojawiła się Kim. W tym pieprzonym mieście i o tej pieprzonej porze roku wiatr oczywiście chłoszcze deszczem zmieszany z drobinami lodu. Przechodzi go dreszcz, kiedy mocniej przyciska telefon do ucha, a jego buty powoli zapadają się w przesiąknięty wodą trawnik.

– Co mówisz, Jimmy?

– Miałeś rację, John...

Traci wątek i przestaje się skupiać na Jimmym, gdy przy taśmie powstaje tumult, a Axel Luo traci nad sobą panowanie. Wyżywa się na ludziach, którzy chcą podejść bliżej. Zbyt blisko.

– Chcecie, żeby wam odstrzelił łby? Tego chcecie? To chodźcie, proszę bardzo, nie mam nic przeciwko! – wrzeszczy, pokazując na swoją kamizelkę. A potem na faceta stojącego tuż przed taśmą.

– Rozumiecie, dlaczego wszyscy po tej stronie mają na sobie coś takiego? Myślicie, że jesteście kuloodporni?

Młody mężczyzna, pilnie filmując wszystko komórką, cofa się o dwa kroki. Trudno określić, czy to w odpowiedzi na wybuch wściekłości Axela, czy dlatego, że zrozumiał przesłanie. Podchodzi ochroniarz z zakładu i z wyrozumiałym wyrazem twarzy kładzie rękę na ramieniu Axela, co wydaje się go uspokajać.

– ...przedtem – kończy Jimmy, który został na posterunku i obsługuje centralę.

– Przepraszam, Jimmy, znów zgubiłem wątek – przyznaje John. Wzdycha niezadowolony z siebie. – Czego się dowiedzieliście o tym kolesiu?

Tym razem zatkał palcem drugie ucho i przymknął oczy, żeby nic go nie rozpraszało, i z uwagą słucha basowego głosu Jimmy'ego.

– Miałeś całkowitą rację, że pojawią się wskazówki co do jego tożsamości. Wystarczyły trzy rozmowy i już mieliśmy nazwisko. Wysłałem je razem z numerem telefonu do Mony i trochę poszperałem. Antonio Rodrigo Alvarez. Czterdzieści dziewięć lat. Urodzony w Chile. Przyjechał tu z rodzicami, kiedy miał trzy lata. Wcześniej niekarany. Ma jednak spore długi. Jego żona, Maria Alvarez, zmarła dwa lata temu na raka o nazwie, której nawet nie będę próbował wymówić. Oboje rodzice też nie żyją. I jeszcze... moment... – John słyszy, jak Jimmy klika myszką. – Brat. Jorge Alvarez. Chyba... tak, też zmarł.

– Jezu. Dużo trupów w tej rodzinie. Nie ma dzieci? – John przesuwa się trochę na prawo, gdzie grunt wydaje się nieco suchszy. Nic z tego jednak. Tutaj też trawnik chwyta go za stopy, próbując wciągnąć w podziemną czeluść.

– Czekał. – Jimmy klika dalej. – Nie. Nic takiego nie widać.

– I nie znamy go, mówisz. To co go wiąże ze hutą?

– Nie mam bladego pojęcia. Z tego, co widzę, nigdy tam nie pracował.

– Może ktoś z rodziny?

John widział wystarczająco dużo takich sytuacji, żeby przeczuwać, o co chodzi. Ale najlepiej najpierw się upewnić.

– Możesz to sprawdzić? Czy żona, brat albo rodzice mieli cokolwiek wspólnego z Ackermannami? Sprawdź dosłownie wszystko. Na przykład gdzie mieszkał. Co robił w wolnym czasie? Czy ktoś z krewnych jest na liście płac huty?

Przypomina sobie rozmowę, którą sam całkiem niedawno przeprowadził z posterunkiem, dodaje więc:

– Zadzwoń do szpitala i zażądaj wszystkich informacji o nim. I jego rodzinie.

– Jasne. Zaraz oddzwonię.

– Dziękuję, Jimmy.

Rozłączywszy się, John ucieka z przeklętego deszczu, który pomalutku przenika mu pod ubranie, jakby miał palce szukające dostępu do jego skóry. Podchodzi do stróżówki. Stojąc przed otwartymi drzwiami, za-

uważa, że w środku jest ciasno. Sporo osób chce słyszeć i oglądać to, co się dzieje.

John już wcześniej miał do czynienia z ludźmi biorącymi zakładników, ale zawsze chodziło o mężczyznę przetrzymującego żonę albo całą rodzinę i za każdym razem historia się dobrze kończyła. Wszyscy tacy ludzie chcą być wysłuchani, niektórzy są chorzy psychicznie albo po prostu są na haju. John wątpi, żeby ten człowiek był chory. To zostało zaplanowane.

Puka strażnika w ramię. Ten odsuwa się, żeby John mógł wejść do środka. Wydostanie się spod strumieni deszczu to błogosławieństwo, nie to jednak sprawia, że nagle czuje ciepło w całym ciele. Kawałek dalej zauważa jej rude włosy. Kim siada, słysząc jej głos:

– Antonio? Cześć, nazywam się Kim Cordell... – Milknie, tak jakby mężczyzna na końcu linii jej przerwał, a kiedy John przeciska się dalej za stół, przy którym siedzi, widzi, że jej twarz robi się całkiem biała.

Kim nie zdążyła nawet się przedstawić, a Alvarez już zaczął mówić. Jest spokojny, ale rozgniewany – to słycać. Kim nie zna jego języka, szczególnie że wypowiada mnóstwo słów, wie jednak, co znaczy „puta”. A to słowo powtarza często.

Kim podnosi wzrok i zauważa Johna. Frank, który na chwilę zaginął, ale już się odnalazł, ustawia komputer obok ekranów z obrazami z kamer monitoringu, żeby można było jednocześnie oglądać transmisję. Za nią tłoczy się Mona z kilkoma ochroniarzami, a przy tym samym stole siedzi podsłuchujący Valle. Gdzie zniknęła Juliette, wie tylko ona sama. W ciasnej budce zaczyna już brakować tlenu, Kim najchętniej krzyknęłaby, żeby wszyscy sobie poszli i dali jej pomyśleć.

„Lepiej, żeby ta pieprzona grupa zadaniowa się pospieszyła” – myśli, przeciągając dłonią po twarzy, kiedy Antonio wyrzuca z siebie hiszpańskie przekleństwa. Nie dopuszcza jej do głosu. Jednak... powiedzieli, że ma zyskać na czasie. Kiedy tak klnie przez telefon, przynajmniej nikogo nie zabija.

John odbiera komórkę, odwraca się z palcem przyciśniętym do ucha, potem się rozłącza, sięga po kartkę i coś na niej zapisuje. Przesuwa ją przez stół do Kim, która przebiega wzrokiem po tekście. Informacje o Alvarezie. To pewnie wszystko, co jak dotąd udało się o nim dowiedzieć. Kim skupia się szczególnie na jednym detalu.

Frankowi udaje się w końcu uruchomić monitor z transmisją na żywo. Obraz pojawia się mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Antonio kończy przemowę. Kim czuje, jak budzi się jej psychologiczny zmysł. Kiedy zauważa mężczyznę leżącego w kałuży krwi na podłodze w pokoju z zakładnikami, najpierw ogarnia ją złość, najchętniej kazałaby Antoniowi przerwać ten koszmar. Zmusiłaby go, żeby się poddał i wyszedł. Wykrzyczałaby, że nie ma, kurwa, prawa strzelać i straszyć ludzi, nawet jeśli ma

jakiś problem lub został niesprawiedliwie potraktowany. Jednak... zdecydowanie nie tędy droga. Nie przyszła tu po to, żeby go oceniać lub angażować się w konflikt. Jest tu, by pomóc go uspokoić, czyli on musi poczuć, że ona stoi po jego stronie. Nawet jeśli wymaga to poskromienia własnych emocji.

– Maria – mówi Kim miękko, przyjaznym tonem.

Alvarez od razu milknie. Słychać jednak oddech. Ciężki. Świszczący. Brzmi, jakby nie był zdrowy. Teraz na całym świecie są tylko ona i on.

– Czy ona była... chora? – kontynuuje Kim.

Alvarez wciąż ciężko oddycha, ale słychać pojedynczy szloch. Tak jakby miał zacząć płakać.

„No to wiemy, o co chodzi” – myśli Kim. Teraz trzeba to tylko ciągnąć, starać się, żeby się otworzył. Nagle spogląda na transmisję i najpierw czuje przenikliwy chłód, a potem jej ciało wypełnia się płomieniami wściekłości.

„Ta pieprzona...?”

Kiedy pochyła się w stronę ekranu, żeby lepiej widzieć, odpływa od rozmowy. Zgadza się. To ona. Nowa żona Parszywca. Siedzi tam przy ścianie razem z resztą zakładników.

„Będziemy mieli dziecko” – słowa Nilsa świętującego w Lyckoslanten wbijają się jej w serce jak noże. Pia Bratt. Nowa żona Nilsa. Jest wśród zakładników.

Nagle Kim nie jest już pewna, czy chce, żeby Alvarez się poddał.

Antonio Alvarez bierze tabletki, zupełnie jakby mogły mu pomóc. Zakładnicy patrzą na niego z odrazą, wszyscy poza Carlem Ackermannem, który wydaje się raczej rozbawiony sytuacją. Ten chłopak zawsze był szumowiną.

Antonio chodzi w tę i z powrotem, zerkając co jakiś czas na zegar.

„Jeszcze pięćdziesiąt minut”.

Spogląda przez okno.

„Jeszcze czterdzieści dziewięć minut”.

Dziesiąty raz sprawdza kamerę.

„Jeszcze czterdzieści osiem minut”.

Czas nigdy dotąd tak się nie włókł, Antonia zżerają nerwy.

Manfred Stolt porusza się z jękiem. Dwie osoby uciskają mu ranę, a Antonio nie może się zdecydować, czy dać mu spokój, czy zakończyć jego męki.

Patrzy w telefon. Widzów jest już ponad sto tysięcy, nie licząc tych, którzy oglądają wiadomości w telewizji. Wie, że wszyscy będą go nienawidzić przez ten krótki czas, który mu jeszcze pozostał. Antonio ma wrażenie, że wskazówka minutowa cofa się, zamiast iść do przodu.

Wciąż napływają nowe komentarze, niektóre są pełne nienawiści, a inne zachęty. Od ludzi, którzy uwielbiają wszelki chaos, którym chaos zapewnia emocje w smutnym życiu, a on dziś jest gwiazdą. Wtedy pojawia się inny komentarz, a Antonio zamiera. Podchodzi do zamocowanej na statywie komórki, zdejmuje ją i przewija. Kiedy zauważa niekończące się komentarze o tym, że nie ma dźwięku, że nikt go nie słyszy, zalewa go krew.

Stał tutaj i mówił o rzeczach, które leżą mu na sercu. Mało tego! Wyjawił wszystko, czego dopuścili się Ackermannowie. Myślał, że świat o tym

usłyszał, i dlatego tak dużo ludzi mu kibicuje. Bo zrozumieli. A tymczasem, nie licząc osób w tym pokoju, nikt nic nie wie?

Antonio wrzeszczy wniebogłosy i na chwilę zamyka oczy. Co on ma teraz zrobić?

Powiedział wcześniej Kim Cordell, że na początek chce, by przybyła tu rodzina Ackermannów. Że w przeciwnym razie pozabija wszystkich zakładników, jeszcze dziś. Teraz to nie wystarczy. Wyłącza telefon i włącza ponownie, uruchamiając dźwięk. Znów próbuje coś powiedzieć, ale pojawiają się podobne komentarze. Nic nie słycać. To była najważniejsza część planu, a on ją spartolił?

„Pieprzone gówno”.

Montuje telefon z powrotem na statywie i zastanawia się przez chwilę. Nagle wpada na pomysł. Jego przesłanie musi pójść w świat. Teraz już dokładnie wie, co trzeba zrobić. Niezależnie od wszystkiego, nie wezmą go żywcem, a po śmierci znów będzie z Marią.

Robi to wszystko z miłości.

Ciężarna kobieta dostaje ataku paniki i ledwo jest w stanie oddychać.

– Proszę, możesz przecież uwolnić Pię, jest w ciąży.

– Cięża to nie choroba – rzuca sucho Antonio, czując w piersi ukłucie zazdrości.

Nie mieli z Marią dzieci. Za mała ruchliwość plemników, twierdzili, a Antonio doskonale wie, skąd się to wzięło. To też wina Ackermannów. Czy oni wiedzą, jak wielu ludziom zniszczyli życie? Pewnie tak, ale mają to w dupie.

Antonio podchodzi do bufetu zastawionego luksusowymi przekąskami i bierze z niego papierową torbę z bułeczkami. Wysypuje je i podaje torbkę ciężarnej Pii.

– Oddychaj do niej.

– Zwariowałaś? Ona musi jechać go szpitala – obrusza się starsza kobieta, w której dopiero teraz rozpoznaje sekretarkę Rolfa Ackermanna.

Antonio kieruje łufę w jej stronę, na co ona przyciska się do ściany.

– Od jak dawna pracujesz dla Ackermannów?

– A tobie co do tego? – odpowiada zaczepnie, chociaż jej oczy zdradzają strach.

– O wszystkim wiedziałaś, prawda? O tym, co ta rodzina robiła. I czego się dopuszczała, żeby uniknąć sprawiedliwości.

– Nie wiem, o czym mówisz.

Antonio prychnął.

– Jesteś tak samo winna jak oni. Jak ty w ogóle możesz spać w nocy?

Kobieta potrząsa głową, ale odwraca wzrok. Dobrze wie, o co mu chodzi. Antonio się zastanawia, jak ona może ze sobą wytrzymać.

– Jesteś współwinna morderstwa, rozumiesz to, prawda? – Antonio nie ma nawet siły się wściekać, chociaż serce przepętnia mu gorycz.

– Jesteś szalony – stwierdza sekretarka cicho i poklepuje ciężarną kobietę po plecach. – Sam powinieneś się zastrzelić – syczy, a Antonio przyciska lufę mocno do jej skroni.

Kilkoro zakładników jednocześnie gwałtownie wciąga powietrze. Ktoś jęczy.

– A może zastrzelę ciebie? Za długo ci się udawało, tak samo jak twoim szefom. Ile ci płacą za trzymanie gęby na kłódkę?

Kobieta nie odpowiada. Mało kto to robi z lufą przy głowie. Jeśli chcą, to mogą sobie uważać, że zwariował. To swego rodzaju przedstawienie, Antonio o tym wie, ale musi odegrać swoją rolę, żeby wszyscy zrozumieli.

Sekretarka właśnie zamierza coś powiedzieć, kiedy Antonio zabezpiecza broń, a kobieta się wzdryga.

– Zabić ciebie to za mało. Tak łatwo się nie wywiniesz.

Antonio wraca do ekranu. Liczba widzów rośnie wykładniczo. Podobnie jak komentarze.

„Jeszcze trzydzieści minut...”

Znów podchodzi do zastawionego stołu. Nie przypuszcza, żeby robotnicy z tej fabryki mieli takie same luksusy. Każdy człowiek ma inną wartość, a kto twierdzi inaczej, jest ślepy.

Bierze cząstkę pomarańczy i zjada ją. Nauczył się żyć z bólem w ciele, ale to niedługo się skończy. Wkrótce osiągnie spokój.

Dzwoni do Kim Cordell. Osoby, która otrzymała niewdzięczne zadanie negocjatorki. Cokolwiek powie, nie będzie to miało żadnego znaczenia.

– Cześć, Antonio. – Kim odbiera, jakby dzwonił do niej kumpel.

– Czy Ackermannowie przyjechali?

– Jeszcze nie, ale już niedługo. Jak zakładnicy?

Antonio patrzy na nich.

– Prawdę mówiąc, tak sobie. Myślę, że ta w ciąży zaraz będzie miała załamanie nerwowe. Manfred Stolt może w każdej chwili umrzeć. Poza tym mam jeszcze jedno żądanie. Kiedy zamierzałaś mi powiedzieć, że nie słyszać mnie w czasie transmisji? Chcę tutaj reportera i kamerę z jednej z dużych stacji telewizyjnych.

– Obiecuję to załatwić, tylko nie strzelaj już do nikogo, a poza tym... – Kim milknie na kilka sekund, tak jakby się wahała. – Załatwię ci ekipę telewizyjną a... a ty wypuścisz Manfreda i Pię. Okej?

Antonio wybuchu śmiechem. Patrzy na zegarek.

– Za dwadzieścia minut zastrzelę następną osobę – oświadcza i się rozłącza. Łapie się za pierś i kuca. Nie wie, ile jeszcze ma czasu.

Kiedy do bramy zbliża się samochód, który aż krzyczy o tym, jak bogaci są jego właściciele, chaos narasta. Kim widzi to przez okno w stróżówce, gdzie wszyscy się ścisnęli. Po plecach, pod bluzką i garsonką, cieknie jej pot. Szuka wzroku Johna i go znajduje. Ciepły i wspierający. Znow patrzy na pojazd, żeby się nie zagapić.

Wokół luksusowego auta zbierają się ludzie, ktoś wali w nie pięściami. Przybyli Ackermannowie, którzy nie są szczególnie popularni w December. Rzadko się lubi bogaczy. Większość ludzi woli jednak trzymać język za zębami i nie gryźć karmiącej ich ręki. Może Alvarezowi udało się obudzić coś w wielu z nich? Utajoną przez lata wściekłość, która teraz zapłonęła i doszła do głosu.

„To właśnie dlatego nigdy nie wolno uwalniać nienawiści” – myśli Kim. Pozwolić jej oddychać. Bo ona sama siebie karmi. Narasta. Pochłania wszystko. Aż do chwili, gdy człowiek zrobi coś, czego będzie żałował. Nienawiść jest jak płomień. Jeśli dostanie tlen, rozpali się.

Kim pogrąża się w myślach. To, że w Szwecji ludzie wolą zaciskać pięści w kieszeni, jest jednak lepsze od wybuchów wściekłości.

„Wszyscy możemy zmienić się w element żadnego krwi tłumu. Choćbyśmy nie wiem jak temu zaprzeczali”.

Myśli o swoim byłym profesorze psychologii osobowości, który zawsze był zwolennikiem koncepcji mówiącej, że ludzie są o trzy posiłki od chaosu. „Zabierz człowiekowi jedzenie, a stanie się tak zdesperowany, że będzie mógł zabić” – mawiał. Twierdził, że to się kiedyś wydarzy. Kiedy prąd i internet znikną na tydzień, dostawy lub coś innego przestanie funkcjonować. Wszyscy ludzie to potencjalni mordercy. W najbardziej ponurych chwilach Kim jest skłonna się z nim zgodzić.

Z fabryki usunięto pracowników, wszyscy stoją teraz przed bramą, równie zagubieni jak Kim. Patrzy na zegar. Za pięć minut Antonio znow

zacznie strzelać. Udowodnił, że się nie waha, jest groźniejszy, niż myślała. Tak jakby zupełnie go nie obchodziły konsekwencje.

Błyszczący czarny samochód mozolnie zbliża się do bramy, mimo że Axel Luo wrzeszczy na wszystkich, żeby się przesunęli.

Kim dzwoni do Antonia, który od razu odbiera.

– Przyjechali?

– Przyjechali, ale jest wielki tłum. Proszę, poczekaj chwilę, daj mi trochę czasu.

Antonio wydaje się zastanawiać, Kim widzi go na ekranie. Wygląda, jakby było mu ciężko. Wkłada tabletkę do ust, a po postawie ciała widać, że coś go boli.

– Ty też jesteś chory? – pyta Kim jak najdelikatniejszym tonem.

– To nieważne – odpowiada.

– Dla mnie ważne. Co ci jest? – drąży, obawiając się, że źle dobrała słowa. Najmniejsza pomyłka może mieć bardzo poważne konsekwencje, a ona nie chce brać na siebie takiej odpowiedzialności. Jednocześnie czuje, że jeśli Pia umrze, jej to zupełnie nie obejdzie.

„Czy wolno tak się czuć? Nie, nie wolno”.

Dlatego poprosiła, żeby wypuścił właśnie Pię i Stolta. W taki właśnie sposób ona zaciska pięści w kieszeniach, zamiast uwalniać wewnętrznego żądnego krwi potwora.

– Rak – wyznaje powoli Antonio.

– Masz dzieci? – próbuje Kim i słyszy, jak mężczyzna ciężko oddycha. Tak jakby przed chwilą biegł, co może oznaczać poważny stres.

– Nie, nie mogliśmy mieć.

– Ja też nie mogę – mówi Kim, zauważając, że ludzie w stróżówce patrzają na nią z zaskoczeniem. Musi uważać, żeby nie zdradzić za dużo o sobie. Niektóre tajemnice czują się najlepiej, kiedy się je pogrzebie, a ona ma w sobie cały cmentarz.

– Dlaczego? – pyta Antonio.

– Nie wiem, pewnie coś jest ze mną nie tak.

– Nie – zaprzecza Antonio. – To nie z tobą jest coś nie tak. To to przeklęte miasto i ci przekłęci Ackermannowie.

– Powiedz, dlaczego to robisz?

Kim patrzy na zegar i pokazuje Monie podniesiony kciuk. Termin miął. Przekroczony o kilka minut.

– Słyszę, że nosisz w sobie ból i być może ważne informacje. Teraz masz szansę. Opowiedz mi, Antonio. To jest dobra chwila, żeby przekazać wszystko, co ci leży na sercu. Ja słucham. Ode mnie usłyszysz o tym cała Szwecja. Opowiedz o Marii, o tobie.

Widzi na ekranie, jak Antonio potrząsa głową.

– Kiedy będą Ackermannowie?

– Dlaczego ich nienawidzisz, zrobili ci coś?

Antonio wypuszcza powietrze z płuc. Jego głos staje się ostrzejszy.

– Wiem, co robisz. Grasz na zwłokę.

– Wcale nie. – Kim jednocześnie kłamie i mówi prawdę. – Chcę to po prostu zrozumieć, zanim oni przejadą przez bramę. Możesz to oglądać na kanale czwartym, jeśli masz do niego dostęp, a pewnie tak jest. Nie zamierzam cię okłamywać.

– Ackermannowie, reporter i kamera. Mają dziesięć minut – ostrzega Antonio. – Potem zastrzelę następną osobę.

Rozmowa zostaje przerwana.

– Kurwa – mówi Mona. – Miałś go. Jeszcze troszkę, a udałoby ci się go przekonać.

– Nie, Mona. Mam przeczucie, że to się nie skończy dobrze. On ma raka, pewnie nieuleczalnego, trzecie lub czwarte stadium. Nie spodziewa się tego przeżyć.

– Jasna cholera – mamrocze Mona i chwyta radiotelefon. – Juliette, zgłoś się. Widzisz go?

– Jeszcze nie. – Juliette dyszy. – Muszę wejść na dach budynku naprzeciwko. Mam strzelić, jeśli będę mogła?

Kim kiwa głową, ale Mona wygląda na zaniepokojoną.

- Nie, albo... sama nie wiem. Tylko jeśli będzie chciał kogoś zabić, ale najpierw zapytaj mnie albo Johna.

Kim stara się spokojnie oddychać, obserwując Monę i pozostałych. Nikt z nich nie był wyszkolony do czegoś takiego. Poruszają się po omacku w mroku, któremu na imię Antonio. W tej chwili tańczą tak, jak im zagra lufa jego broni.

Rolf i Eva Ackermannowie wchodzą do stróżówki, w której robi się niezręcznie. Tak jakby otaczała ich jakaś toksyczna aura, od której ludzie wolą się trzymać z daleka.

- Dlaczego jeszcze go nie zastrzeliliście? - pyta chłodno Rolf, ściągając brązowe skórzane rękawiczki.

- Ma zakładników - wyjaśnia Mona.

- Gówno mnie to obchodzi. Po prostu go zastrzelcie.

Antonio zauważa, że po zakończeniu rozmowy z Kim Cordell w jego ciało wkradł się zdradziecki spokój. Gniew powraca.

„Jest dobra. Za dobra. Prawie mnie przegadła”.

Na tę myśl wszystkie systemy w jego ciele znów się nakręcają. Oddech, puls, adrenalina. Zaciska szczęki i rzuca telefon na stół.

„Ta wiedźma sądzi, że może mnie powstrzymać przed zrobieniem tego, po co tu przyszedłem, używając swojego psychologicznego hokuspokus”.

Tak jakby to był jakiś kaprys. Jakby Maria, Jorge, matka i ojciec nic nie znaczyli. Ani ta czwórka dzieci, o których marzyli z Marią po ślubie. Pragnęli dwóch chłopców i dwie dziewczynki. Chcieli im nadać szwedzkie imiona, żeby mieli równe szanse w społeczeństwie.

Myśl o czwórce dzieci, które nigdy się nie pojawiły, staje się kroplą przepelniającą czarę goryczy. Antonio krzyczy jak zranione zwierzę. Potem spogląda na zegar.

„Pieprzyć tę babę”.

Jeśli uważa, że będzie w stanie go powstrzymać, to grubo się myli. Owszem, opóźniła go o parę minut, ale teraz znów jest na fali. Robi trzy duże kroki w stronę drżącego i płaczącego rządka zakładników i wyjmuje pistolet. Obraca głowę w stronę stojącej na statywie kamery.

– Mamy opóźnienie – mówi cicho. – Proszę wybaczyć, drodzy widzowie. To już się nie powtórzy.

Potem przypomina sobie, że go nie słyhać. Nic nie szkodzi. Na pewno mniej więcej go rozumieją.

Nie obchodzi go nawet, w kogo celuje. Strzeli. Muszą zobaczyć, że nie żartuje. Gdy napina palec wskazujący, między Antoniem a ciężarną,

w którą wycelował, staje Carl Ackermann. Wygląda na przestraszonego, ale zdecydowanego. Ciężko oddycha.

– Antonio – mówi z uniesionymi rękami, patrząc na lufę znajdującą się niespełna pół metra od jego czoła. – Masz, czego chciałeś. Przyjechali. Babcia i dziadek. Cokolwiek teraz zrobisz, może albo pogorszyć, albo poprawić twoją sytuację. To, co zamierzasz zrobić, pogarsza ją. Możesz mi wierzyć.

Antonio mocno zaciska powieki. Nacisnął już lekko spust, ten łatwiejszy odcinek. Teraz wystarczy pomyśleć o wystrzeleniu, a pistolet zrobi dziurę w twarzy tego rozpieszczonego, zadowolonego z siebie łotra i rozchlapię jego mózg na ścianie i ludziach kucających za nim na podłodze.

– Jestem po twojej stronie – ciągnie Carl. – Od lat próbuję walczyć z własną rodziną. Jestem całkowicie przekonany, że powiedziałeś prawdę. O tej truciznie. Wierzę ci, Antonio. Ale prawda jest taka, że to nie jest dobry sposób. Jeżeli pokażesz, że jesteś szalony i nierozsądny, to każą gliniarzom cię po prostu zastrzelić. A zresztą mogliby to nawet zrobić sami. Bo oni nigdy nie są słabsi. Jeśli ty jesteś szalony, to oni jeszcze bardziej. Jeśli ty jesteś groźny, to oni groźniejsi. Ale jeżeli zobaczą, że można się z tobą dogadać albo negocjować, to masz szansę dostać to, czego chcesz. Im zawsze chodzi o biznes, nawet w wychowywaniu dzieci.

– Chcesz powiedzieć, że jeśli uznają, że można mnie kupić – syczy Antonio, wciąż trzymając drżący pistolet przy głowie Carla.

Carl Ackermann kiwa głową zrezygnowany.

– Tak. Dokładnie. Oni zawsze wszystko tak rozwiązują. Wykupują się. Jeśli się da. Musisz więc pozwolić im właśnie w to uwierzyć: że się da.

„Niech to szlag!”

Kim siedzi, zakrywając ręką usta, nie śmie oddychać. Wszyscy w stróżówce zamarli i obserwują to, co rozgrywa się na ekranach monitoringu i w transmisji na żywo. Jak Antonio rzuca słuchawkę. Jak podchodzi do zakładników i wyciąga pistolet, żeby strzelić. I jak Carl Ackermann staje mu na drodze.

Pod Pią, przed którą stanął, pojawia się na podłodze kałuża. Kobieta histerycznie szlocha. Bez dźwięku obserwowanie tej sceny z oddali robi się niemal jeszcze bardziej przerażające.

Carl i Antonio rozmawiają.

Kim patrzy na Evę i Rolfa Ackermannów.

„Nawet im powieka nie drgnie. Mimo że jakiś wyraźnie gotowy do strzału szalenciec celuje do ich wnuka”.

Znów patrzy na ekran.

„Czy to wszystko moja wina?”

Niezależnie od tego, co Ackermann powiedział Alvarezowi, wydaje się to działać.

„On odwala moją robotę – myśli Kim z rozpaczą. – Robi to, co mnie się nie udało. Dlaczego? Zapewne dlatego, że Carl może mówić do niego twarzą w twarz”. Kim zaś nie może. Tak się nie robi.

„Świat to popieprzone, chore miejsce”.

Kiedy Antonio po kilku minutach opuszcza broń, wszyscy w stróżówce oddychają z ulgą. Kim przęłyka z trudem ślinę i patrzy na Johna, który wydaje się równie przejęty jak pozostali.

– Coś się dzieje! – wybucha jeden z ochroniarzy zakładu i wszyscy znów skupiają się na ekranach.

– No co ty – szepcze Mona.

Carl Ackermann skończył rozmowę z Antoniem, a teraz pomaga Pii wstać. Ta z kolei pomaga Manfredowi Stoltowi. Ma zupełnie białą twarz, a bok jego koszuli pokrywa ciemny wykwit krwi, ale niezdarńie wstaje na nogi. Kuśtykają do drzwi, a Antonio Alvarez celuje na przemian to w nich, to w pozostałych zakładników. Przy stole stoi Carl Ackermann. Antonio przytrzymuje drzwi Pii i Manfredowi. Potem zamyka je na zamek i wraca do telefonu. Kim natychmiast odbiera.

– Ja zrobiłem swoje – mówi Antonio. Dźwięk kierowany jest do głośnika, żeby wszyscy w stróżówce go słyszeli. – Czas na was. Rolf i Eva Ackermannowie. Mają tu się zjawić razem z dziennikarzem. I to już. Następnym razem, kiedy będziemy rozmawiać, nie będę już taki miły. Niedługo umrze następna osoba. Teraz wszystko zależy od nich.

Antonio Alvarez odkłada słuchawkę i podchodzi do stołu, a ludzie w stróżówce znów zaczynają się poruszać.

– Czy karetka jest na miejscu? – pyta Mona i otrzymuje od kogoś niepewną odpowiedź.

– Zakładnicy wyjdą drzwiami od południa. Wyślijcie tam ambulans – słyhać gdzieś przez radio.

– Juliette, jesteś na miejscu? – wywołuje Mona przez krótkofalówkę.

– Za minutę. Wszędzie były zamknięte drzwi, ale wykopałam je.

Kim przygląda się Rolfowi i Evie, którzy wyglądają, jakby czekali na windę. „Niedługo umrze następna osoba. Teraz wszystko zależy od nich”. Te słowa wydają się nie robić na nich żadnego wrażenia.

„Co to za cholerna rodzina?”

John wchodzi do stróżówki po udzieleniu szybkiego wywiadu stojącym na zewnątrz reporterom kanału czwartego, a jego fryzura wygląda, jakby właśnie stoczył walkę z Sauronem z *Władcy Pierścieni*.

– Jak wygląda sytuacja? – pyta, patrząc na ekrany i jednocześnie czo-
chrając już i tak sterczące na wszystkie strony przemoczone jasne włosy.

– Niezły numer z tym wywiadem – mówi Mona. – Na razie nic nowego.
John kiwa głową.

– To ja pojedę do szpitala i przesłucham wypuszczonych zakładników.
Dowiem się też jak najwięcej o Antoniu. Kazałem Jimmy’emu pogrzebać
głębiej w historii reszty jego rodziny.

– Super.

Mona wygląda na zadowoloną i delikatnie popycha go przed sobą w lo-
dowaty deszcz.

Kiedy drzwi się zamykają, Kim widzi przez okno, że Mona szepcze coś
do Johna. Jego twarz nabiera nowego wyrazu, skupionego i poważnego,
John kiwa głową i szybko przeciska się przez ludzką masę powstrzy-
waną przez Axela Luo.

Kim przymyka oczy. Wie, że to samolubne, ale wolałaby, żeby John tu
został. Minęło pół godziny, a ona czuje się, jakby brała udział w wyścigu
Formuły 1. Ilekroć spogląda na zegar, wydaje jej się, że jego wskazówkom
bardzo się spieszy.

Serce bije jej szybko. Ma wrażenie, jakby była na haju. Nie może pojąć,
jak policyjni negocjatorzy radzą sobie z tym wszystkim. Ona zdecydowa-
nie woli swój gabinet z sofą i fotelem.

Jednocześnie musi przyznać, że ta sytuacja to właśnie to, po co żyje.
Żeby rzeczywiście do czegoś się przydać.

„Gdyby ludzie z forum wiedzieli, czym się w tej chwili zajmuję, obwołałby mnie królową”.

Obraca się, żeby poprosić o kubek kawy, spogląda przez inne okno i jej serce staje. Wypływa z niej cała energia. Jest psycholożką, powinna dysponować wszelkimi narzędziami, żeby nie rozpaść się na kawałki, ale to jest zbyt osobiste. Nienawidzi tego drania. Chciałaby móc puścić Cannibal Corpse na cały regulator, żeby uszło z niej trochę pary. Ale w tym mieście na pewno nikt nie rozumie jej gustów muzycznych. Musi się zadowolić nuceniem w głowie *Pounded into Dust*.

Nils Bratt, jej były mąż. Stoi na zewnątrz i sprawia, że cały świat się trzęsie. Kim wie, po co tu przyszedł, ale nie spodziewała się, że przybiegnie tu do swojej nowej miłości jak pieprzony pies.

„Dla mnie w życiu by tego nie zrobił”.

Cierń zazdrości przeszywa jej serce, które wciąż nie doszło do siebie.

Zatrzymuje się samochód i Nils wskakuje do niego, żeby ruszyć za Pią do szpitala. Kim nie rozumie, po co, babie nic przecież się nie stało. Tylko się zeszczęła. I co oni jej tam zrobią? Zaszyją cipę?

– Negocjator z NOA jest w drodze, grupa zadaniowa też – mówi Mona. – Nie było żadnych helikopterów do dyspozycji, więc jadą samochodami. Będą za trzy godziny.

– Nie mamy trzech godzin – zauważa Kim łamiącym się głosem, odprowadzając gniewnym wzrokiem samochód, którym odjeżdża Nils. Wzdycha i próbuje dojść do siebie. Robi się trochę łatwiej, kiedy były mąż znika z pola widzenia.

– Wszystko w porządku? – Mona kładzie jej rękę na ramieniu. Śledziła jej spojrzenie. Zobaczyła to co ona.

– Słuchaj... wiem, że wasza relacja się skończyła... fatalnie. Musisz jednak spróbować odłożyć to na razie na bok.

Kim ma ochotę parsknąć śmiechem, ale jakoś się powstrzymuje. Mona nie ma pojęcia, co tak naprawdę się zdarzyło między nią a Parszywcem Nilsem. Nikt tego nie wie, nie licząc Elin i Johna. Bo Nils chciał to zachować w tajemnicy. A Kim nie. Kiedy jednak później zostawił ją po przeszczepie nerki, cieszyła się, że się na to zgodziła.

„Wystarczy, że ja i Parszywiec wiemy, jakie ze mnie zero. Jak łatwo mnie oszukać. Gdyby wiedziało o tym też całe miasto, zabiłabym się”.

– Jasne, spoko – odpowiada z wysiłkiem i cofa rękę, która była już w drodze do blizny. Ktoś stawia przed nią na stole kubek z kawą, Kim z wdzięcznością sięga po niego.

Mona uśmiecha się do niej z niepokojem.

– Może powinnaś trochę odpocząć.

– Nie ma czasu. Wy dwoje – zwraca się Kim do Ackermannów. – Czego chce Antonio? Dlaczego to robi?

Rolf wzrusza ramieniem, jakby odpychał to pytanie.

– A skąd ja mam to wiedzieć? Ten facet to ewidentnie świrus.

– Nienawidzi was, to sprawa tak jawnie osobista, że ślepy by to zauważył.

– Słuchaj no, dziewczyno. Jeśli Rolf mówi, że go nie znamy, to tak jest.

Kim wzdyga się na słowa Ewy, ale przede wszystkim na widok jej oczu. Teraz pojmuje, że to nie Rolf tu rządzi – to ta kobieta. Przychodzi jej do głowy pewna myśl.

– Jesteście dziadkami Carla. Gdzie są jego rodzice? Czy to nie oni prowadzą dziś zakład?

Rolf cmoka.

– Są na konferencji w Ameryce Południowej i nie będziemy na razie ich tym wszystkim niepokoić.

– Dlaczego ten wstrętny człowiek wciąż żyje? – pyta Eva, odwracając się do Mony.

– Bo...

– Nie bądź idiotką. Płacimy na to miasto i jego policję. Bez nas jeździliście na tandemach i wyli ustami. Załatwcie tę sprawę i to już.

– No, ale jak! On zabije waszego wnuka.

Wszyscy odwracają się w stronę Kim, której twarz płonie. Podniosła głos nieco bardziej, niż zamierzała. Teraz będzie mówić trochę ciszej. Robi, co może, żeby przybrać profesjonalny i przekonujący ton głosu.

– Jeśli nie będzie mógł z wami porozmawiać, to postara się narobić jak najwięcej szkód. Żąda rozmowy z wami. Nie musicie nawet wchodzić do budynku.

Kim wie, że Antonio chce, by weszli, ale jest również świadoma, że życie to ciągle negocjacje. Umieszcza się poprzeczkę wysoko, ale akceptuje się coś pośrodku.

– To czego on chce? Pieniądzy?

– Nie wiem, może.

Eva uśmiecha się tak krzywo, że wygląda jak wilczyca.

– To dlaczego nie mówisz od razu?

Kim wzdryga się, jest przekonana, że Antonio ma gdzieś pieniądze, ale nie tylko on wziął zakładników. Całe miasto składa się z zakładników Ackermannów.

Z krótkofalówki słychać szum.

– Mam pozycję do strzału – oznajmia Juliette, a Kim wstaje.

Eva chwytając stojący na stole radiotelefon.

– Strzelaj! – krzyczy.

Słychać huk i cała huta pogrąża się w milczeniu.

John wchodzi do szpitala po krótkim przystanku po drodze, żeby wrzucić na ruszt hot doga. Pyta o osoby przywiezione z huty.

– Chodzi o Pię Bratt i Manfreda Stolta – mówi do dziewczyny w recepcji.

Może to ta sama, z którą wcześniej rozmawiał przez telefon. Klika myszką, wpatrując się w stojący przed nią monitor, ale chyba nie znajduje tego, czego szuka. Mimo że jest to najmniejszy szpital na świecie, wygląda na to, że nikt tu nad niczym nie panuje.

Na ekranach telewizorów widać rozgrywający się na żywo dramat zakładników, ludzie tkwią przy nich jak przyklejeni. Z ust zadowolonych osób siedzących w poczekalni słychać komentarze zdradzające ich prawdziwą naturę.

John z początku myśli, że wszyscy są wstrząśnięci samym faktem takiego zdarzenia w małym December, po chwili jednak zdaje sobie sprawę, że to nie to zadziwia ludzi. Raczej fakt, że ktoś ośmielił się postawić Ackermannom.

W poczekalni nie czuje się przerażenia, raczej przeciwnie. Radość z sensacji. Antonio jest... bohaterem?

John myśli o tym, co wyszeptala mu Mona. Żeby, rozmawiając z Ackermannami, założył jedwabne rękawiczki. Bo całe December do nich należy. John ma to gdzieś, ale zastanawia się, czy należy do nich również Mona. Całe to miasteczko to jedno, wielkie zadupie.

John bębni palcami w ladę recepcji i ogląda relację, czekając na wynik poszukiwań dziewczyny. Stojąca w deszczu podniecona reporterka mówi o informacji od policji, że ktoś właśnie strzelił do Antonia, choć to nic pewnego.

„A niech mnie”.

John stwierdza, że dziewczyna w recepcji za bardzo się guzdrze, przebiega więc lekko przez korytarz, by samemu poszukać tego, czego potrzebuje, kiedy niedaleko przed nim ktoś przewozi przez oddział ratunkowy ciało na noszach. John gwałtownie się zatrzymuje. Stoi tam René, wskazując usłużnie windę i umieszczony na niej znak z napisem „Kostnica”.

Czy to Alvarez...?

John rusza do przodu, kiedy René otwiera worek po stronie głowy, ale zamiast mężczyzny z Ameryki Południowej leży tam Tajka.

– Kto to taki? – pyta, a René podrywa się, jakby ktoś wetknął mu termos w tyłek.

– Jezus, nie zakradaj się tak. – Uśmiecha się z ulgą lekarz, chwytając się za serce.

– Sorry. – John kładzie mu rękę na ramieniu i patrzy na posiniałą twarz kobiety.

– Cześć, Jimmy – mówi.

Policjant kiwa głową w odpowiedzi.

– Straszne – mówi. – Po prostu potworne. Dostaliśmy wezwanie pół godziny temu. Tylko ja mogłem pojechać. Wrócę tam, żeby dalej powęszyć, kiedy tylko będę mógł. Kiedy przybyłem na miejsce przestępstwa, ona już... – Jimmy’emu łamie się głos, nerwowo głaszcze się po wąsach, patrząc w dal niewidzącym spojrzeniem. – Ona jest z Tajlandii. Przyjechała dwa lata temu, a szczerze mówiąc, została importowana. Biedaczka. Jest, a raczej była, żoną Magnusa Anderssona. Co za miasto. – Wzdycha René i zaciąga zamek błyskawiczny. – Zawieziesz ją na dół, żeby Harry mógł zacząć przygotowania, Jimmy? Mamy tu lekki sajgon. Chodź, John.

René i John idą w kierunku końca innego korytarza.

– Znęcanie się nad kobietą?

René wzdycha ciężko.

– Tak, jeden z wielu przypadków. Dla niej to też nie pierwszy raz. Co jest nie tak z facetami?

– Nie wiem – odpowiada John, ale dobrze wie, co z nimi jest nie tak.

René otwiera drzwi i wpuszcza go do środka.

– Umieściłem ich tam.

Pia Bratt i Manfred Stolt leżą na osobnych łóżkach. Pię przytula męża, a Manfred leży samotnie. Wchodzi pielęgniarka i uśmiecha się do Reného.

– Manfred z tego wyjdzie, stracił niewiele krwi i przez dłuższy czas będzie go bolał bark, ale jego życiu nic nie zagraża. Możesz porozmawiać z obojgiem, ale z Manfredem bądź delikatny, on jest taki wrażliwy – dodaje z uśmiechem.

– Zamknij ryj, sam jesteś wrażliwy – rzuca Manfred i jęczy, kiedy próbuje podnieść prawą rękę.

Chyba dobrze się znają, John podchodzi więc do łóżka starszego mężczyzny. René cicho rozmawia z pielęgniarką o jakichś testach, które chce zrobić, żeby się upewnić, że ta stresująca sytuacja nie wpłynęła źle na płód Pii.

– Dzień dobry, John Wagner.

Wyciąga rękę, ale Manfred nawet na nią nie patrzy.

– Taa, słyszałem o panu – mówi bez emocji.

– Czy może mi pan coś powiedzieć o Antoniu Alvarezie?

– Niestety nie. Nigdy wcześniej człowieka nie widziałem. Nie ma go też na listach płac. Znam wszystkie nazwiska.

– To co tam robi?

– Nienawidzi Ackermannów i z jakiegoś powodu mnie też. Twierdził, że dobrze wiem dlaczego, ale prawdę mówiąc, nie mam zielonego pojęcia.

John przygląda się mężczyźnie badawczo i czuje w ciele coś nieprzyjemnego. Kłamie? Jeśli tak, to jest w tym dobry.

– Jakiś szczegół w jego zachowaniu albo coś innego, co panu przychodzi do głowy?

Manfred znów jęczy i próbuje usiąść. John mu pomaga, za co dostaje wdzięczne spojrzenie.

– Trzeba było już lata temu iść na emeryturę.

– To dlaczego pan tego nie zrobił?

– A wie pan, jak wielu ludzi umiera, kiedy przechodzi na emeryturę i nagle nie ma nic do roboty?

– Zdecydowanie zbyt wielu.

– No właśnie.

John ma poczucie, że nie jest to cała prawda, ale wie, kiedy trzeba trzymać język za zębami.

– A więc, jeszcze coś chciałby pan powiedzieć?

– Nie, poza tym że wydawał się chory. Znaczy nie tylko na banię.

John kiwa głową i podaje mu wizytówkę.

– Proszę zadzwonić, jeśli przypomni pan sobie coś jeszcze.

John odwraca się do Pii Bratt, ale Nils od razu ją zasłania.

– Ona teraz nie może rozmawiać. Może pan przyjść później, dostała środki uspokajające.

John się śmieje. Obchodzi Nilsa i staje obok Pii, kiedy pielęgniarka daje jej do połknięcia tabletkę.

– Co może pani powiedzieć o Antoniu?

– Był miły i jednocześnie głupi. Rozumie pan, co mam na myśli?

John uśmiecha się nieco krzywo.

– Ludzie są skomplikowani – stwierdza, a Pia potwierdza ruchem głowy.

– Daj pan jej już spokój.

Nils wygląda na poruszonego, John zostawia ich. Teraz nie wyciągnie z nich nic istotnego. Większość szczegółów już zna. Jest jednak przekonany, że Manfred nie powiedział wszystkiego. Niektórzy uważają, że najlepiej przesłuchiwać ludzi od razu po zdarzeniu, i czasami jest to prawda, ale rzadko w przypadku ofiar, a Manfred i Pia właśnie nimi są. Szczegóły pojawiają się później, kiedy minie pierwszy wstrząs i spróbują zasnąć. Wtedy całe zdarzenie będzie im się w kółko odtwarzać w głowach.

– Odezwe się później.

John kiwa głową do Renęgo i wychodzi na korytarz, zastanawiając się w duchu, co, u diabła, taka dziewczyna jak Kim widziała w takim szmaciarzu jak Nils Bratt. Prawda, całkiem obiektywnie wygląda nieźle. Jeśli nato-

miast chodzi o osobowość, to wydaje się prawdziwą gadziną. Facetem, który zawsze musi mieć rację i ostatnie słowo, niezależnie od kosztów. Przeciwiństwo Kim.

„Zupełnie inny. Ona jest piękna i na zewnątrz, i w środku”.

Buty stukają na szarym linoleum. Pachnie inaczej niż w sali. Ściany w szpitalnych żółciach pokryte są pozbawionymi treści grafikami. John siada na krześle i pociera twarz. Spał za mało i ledwo co zjadł. Nędzny hot dog na długo nie wystarcza. Czuje, jak migrena czai się na karku i tylko czeka, żeby wyskoczyć na niego z wrzaskiem. Mgła za to rozproszyła się nieco, jak zawsze, kiedy trzeba sobie radzić z trudnymi sytuacjami. John wkłada do ust tabletkę i połyka ją na sucho. Ma wrażenie, że utknęła mu w gardle. Chrząka. Rozgląda się za automatem z wodą, ale bez powodzenia. Przęłyka, aż wreszcie pigułka zsuwa się w dół.

Wie, że będzie to długi dzień, niezależnie od tego, czy zastrzelili Antonia, czy nie. Powinien wrócić do huty, ale ma poczucie, że do niczego szczególnego tam się nie przyda. To on dowodzi, ale jednak Mona pociąga za sznurki, co w sumie nie jest złe. Tam jednak odpowiedzi nie ma, raczej będzie je można znaleźć w domu Antonia i u ludzi, którzy go znają.

„Mamy jego adres. Tam powinienem pojechać”.

Wstaje i już ma ruszyć, gdy w wewnętrznej kieszeni odzywa się telefon. John odbiera z westchnieniem.

– Dzień dobry – mówi jakaś młoda dziewczyna. – Tu Anette ze szpitala, rozmawialiśmy dziś wcześniej i chciałeś, żeby dać znać, kiedy ktoś odwiedzi Ellę Strand.

John zatrzymuje się w pół kroku. Stoi nie dalej niż pięćdziesiąt metrów od recepcji, gdzie siedzi przy telefonie i rozmawia z nim ta sama dziewczyna, którą pytał o zakładników. John rozłącza się i rusza naprzód.

Pielęgniarka, podnosząc na niego wzrok, wydaje się zdezorientowana. Powtarza do telefonu:

– Halo? Halo, jesteś tam?

– To ze mną rozmawiałaś – odpowiada John, wskazując na słuchawkę. Dziewczyna odkłada ją, nic nie rozumiejąc.

– Znaczy... co?

John po raz drugi w niedługim czasie podsuwa jej legitymację policyjną.

– John Wagner. Może mnie pamiętasz sprzed mniej więcej dwudziestu minut? To właśnie ja potrzebowałem informacji o gościach Elli Strand.

– Tak... – Na szyję dziewczyny wypływa rumieniec, kiedy poprawia słuchawkę na białym szpitalnym telefonie. – Tak jak mówiłam, Ella Strand właśnie ma odwiedziny na górze, na onkologii.

W brzuchu Johna rozbłyska małeńki fajerwerk.

– Gdzie to jest?

– Drugie piętro, a potem w lewo i kawałek drogi do zachodniego skrzydła. Stamtąd możesz pojechać windą.

John już rusza.

– Dzięki! – rzuca przez ramię.

Na drugim piętrze wysiada z windy i gwałtownie się zatrzymuje, widząc stojącego zaledwie dziesięć metrów dalej mężczyznę. Te głęboko osadzone oczy, te rozczochrane włosy. Broda...

Kiedy w głowie Johna kawałki układanki zaczynają do siebie pasować, traci oddech. Mężczyzna patrzy mu prosto w oczy, przez sekundę nie mogą oderwać od siebie wzroku.

To Kurt Strand!

„Niech to szlag” – myśli Kim i znów się wzdryga.

Kiedy echo wystrzału niesie się po całym terenie zakładu, wszystko zamiera. Nie przestaje padać tylko deszcz, który jak gdyby nigdy nic obrzuca ludzi i budynki swoimi lodowatymi szpilkami. Huk wybrzmiewa ostro i gwałtownie jak uderzenie pioruna.

Pracownicy, którzy chodzili dookoła przed bramą niczym zagubione kury, zastygli bez ruchu. Reporterzy, którzy bez przerwy paplali do swoich kamer, tracą wątek. Axel Luo, który właśnie starał się złapać człowieka próbującego przedostać się przez taśmę, zatrzymuje się. Patrzy w stronę huty, tak jak wszyscy pozostali. Zupełnie jakby mogli widzieć przez ściany.

W stróżówce dzieje się to samo. Wszystko znieruchomiało. Wszyscy wstrzymują oddech.

Wszyscy poza Evą Ackermann.

– Ktokolwiek jest po drugiej stronie tego czegoś – oznajmia, wskazując na policyjną krótkofalówkę – musi dostać awans i konkretną podwyżkę.

Kim nie bardzo rozumie, co właśnie się wydarzyło. Wszystko stało się tak szybko. Wpatruje się na ekran z transmisją na żywo. Antonio Alvarez, który dwie sekundy temu siedł w stronę kamery, nagle odwrócił się, tak jakby tańczył z niewidzialnym brutalnym olbrzymem. Całym jego ciałem wstrząsnęło, odwrócił się, po czym padł na podłogę poza kadrem.

W radiotelefonie coś trzeszczy, ale nikt nic nie mówi.

Monie udaje się wyrwać z odrętwienia, podnosi radio.

– Juliette, zgłoś się. Juliette?

– Myślę, że trafiłam tego zjeba – słychać głos policjantki.

– Język, dziewczyno – odpowiada Mona. – Są tu media.

– Jasne, kurwa, albo *fuck*, albo... rozumiesz.

Kim przenosi uwagę na kamery monitoringu, a Rolf Ackermann gratuluje żonie słusznej decyzji. Na jednym z małych czarno-białych ekranów widać leżącego bez ruchu na podłodze Alvareza.

„Trafiła? Nie żyje? Czy to już koniec?”

Widać wyraźnie, że również pozostali w pokoju zakładnicy są w szoku. Zamarli przy ścianie. Po kilku sekundach jeden z mężczyzn zaczyna się jednak poruszać. Właśnie ma wstać i chyba ruszyć w stronę drzwi, kiedy noga Alvareza zmienia pozycję.

Kiedy Antonio z nadludzką szybkością staje na nogi i podrywa starą sekretarkę z podłogi, w całym pokoju rozlega się zbiorowe sapnięcie. Kobieta krzyczy przerażona i próbuje wyrwać się z jego chwytu, ale nie ma z nim szans. Alvarez rozgląda się wściekle dookoła i zauważa okno z dziurą po kuli. Trzyma drobną kobietę przed sobą jak tarczę. Wskazuje przez okno pistoletem. Potem celuje w skroń sekretarki. I znowu przez okno.

– Kurwa – mówi Juliette do krótkofalówki. – Naprawdę myślałam, że go trafiłam, ale wygląda na to, że tylko drasnęłam. Sorry, szefowo.

Mona przeciąga ręką przez twarz.

– Juliette. To nie ja rozkazałam...

Bierze głęboki oddech. Uspokaja się.

– Koniec strzelania, okej?

– Nie mam już pozycji – odpowiada Juliette. – Mam zejść?

Mona zastanawia się, ale jednocześnie kręci głową, tak jakby już postanowiła.

– Nie, do cholery, zostań tam na górze. Naprawdę mam nadzieję, że nie będzie to potrzebne, ale istnieje prawdopodobieństwo, że będziesz musiała znowu strzelać. Zobaczmy, jak on na to zareaguje. Jeśli zacznie ich zabijać, to nie będziemy mieli, kurwa, wyboru. Rozumiesz?

– Język, Mona. Są tu media – odpowiada Juliette. – Jasna sprawa.

Kim podskakuje, kiedy dzwoni telefon. Odbiera w tej samej chwili, w której Alvarez pojawia się na ekranie transmisji. Ma przed sobą sekretarkę, którą obejmuje za szyję i zmusza, żeby trzymała telefon tak, by

mógł do niego mówić. Pot perli mu się na czole, włosy zwisają w strąkach. Z barku cieknie mu krew, a z oczu bije nienawiść.

– Chcecie mnie zlikwidować? Tak chcecie to rozwiązać? Ty pieprzona pizdo!

„To o mnie” – myśli Kim i czuje, jak ściska jej się żołądek.

– Siedzisz tam i pytasz o moją żonę! – Ślina Alvareza przyska na kamerę i część obrazu robi się zamazana. – Tak jakbyś się mną przejmowała! Nami! Nią! Siedzisz tam sobie i kłamiesz, że Rolf i Eva tu przyjdą, ale tak naprawdę próbujesz tylko zyskać na czasie, żebyście mogli mnie zamordować?

Kim zakrywa słuchawkę ręką, odwraca się do Ewy i Rolfa.

– Musicie tam iść.

Odwraca się w stronę Mony.

– Możemy dać im kamizelki i... cholera wie, hełmy i całą resztę. Ale muszą tam iść. Tylko to może go uspokoić. Dał nam dwoje zakładników, a my w zamian coś mu obiecaliśmy. Teraz on myśli, że tylko kłamiemy, i obawiam się, że to może przeważać szalę. Wszystko się teraz posypie. Jeśli się nie ugnie i nie damy mu czegoś, boję się, że zabije wszystkich w tym pokoju.

Mona milczy, rozważając te słowa. Kim odwraca się do Ewy Ackermann. Próbuje przeniknąć przez kamienną maskę jej twarzy. Wygląda, jakby wcale nie znajdowała się w zagrażającej życiu sytuacji. W duszy Kim narasta wściekłość.

– Jest tam wasz wnuk – syczy. – Alvarez go zastrzeli. Poważnie, tego się obawiam. Obawiam się też, że tylko wy możecie go powstrzymać. Musicie go ratować. I całą resztę. Okej? Jestem pewna, że można przemówić mu do rozsądku. On tylko chce, żebyśmy go wysłuchali. Idźcie tam. Posłuchajcie, co ma do powiedzenia, i wszystko jedno, co to będzie, obiecacie, że dostanie to, czego chce. Tylko wtedy będziemy mogli jego i resztę wyprowadzić stamtąd całych i zdrowych. Potem zajmie się nim policja, okej?

Kim z trudem oddycha po wyrzuceniu z siebie tego wszystkiego.

Eva Ackermann patrzy przez sekundę w oczy męża. Potem podnosi podbródek.

– Nie ma mowy. Możecie przecież znowu do niego strzelić. I tym razem traficie.

W tej chwili z głośnika słychać głos Alvareza:

– Pożegnajcie się z tą małą świnką.

– Nie! – krzyczy ktoś.

Potem słychać kolejny strzał.

John biegnie i niemal zderza się z blond pielęgniarką wychodzącą z jednej z sal z podkładką do pisania w rękach. Dziewczyna piszczy, ale on nie spuszcza wzroku z Kurta, który zrobił w tył zwrot i oddala się biegiem.

Pielęgniarka woła za Johnem, ale on nie słyszy. Myśl o Sarze i Mattiasie daje mu sił. Wszystko inne przestało istnieć. Alvarez. Huta. Nawet Kim. Uciekinier skręca za róg, a jacyś ludzie za nim krzyczą.

Przy osobnej recepcji oddziału onkologii ludzie wciąż siedzą jak przyklejeni do ekranu telewizora, jednak niektórzy się odwracają zaciękami wieni tym, co się dzieje.

– Dokąd pobiegł? – sapie John.

Pomarszczony, mały staruszek wyglądający, jakby miał tysiąc lat, wskazuje drogę palcem. John znów przyspiesza.

Skręca w następny korytarz, gdzie widzi tylko stopę Kurta wbiegającego na klatkę schodową. Zamykają się za nim drzwi.

John przyspiesza. Nie może go zgubić, bo wtedy istnieje ryzyko, że już nigdy go nie znajdzie. Jeszcze nie był tak blisko rozwiązania strasznej zagadki Sary i Mattiasa.

Szpital jest stary, John o tym wie, a dawno temu był częścią sanatorium, ale też szpitala psychiatrycznego. Sara mówiła, że tu straszy, krążą też opowieści o fabrykantce aniołków, która zabiła wiele dzieci. John bywał tutaj w kostnicy i wie, że – podobnie jak we wszystkich innych szpitalach – są tu stare tunele rozciągające się pod ziemią daleko poza budynek.

Wzdryga się, otwiera zielone metalowe drzwi, wchodzi na klatkę schodową i w napięciu słucha echa. Pobiegł w górę czy dół?

Panuje całkowita cisza, John słyszy tylko swoje głośno bijące serce. Wstrzymuje oddech. Zauważa, że migrena gdzieś zniknęła, jak zawsze w takich sytuacjach. Uważa to za błogosławieństwo, nie może jednak nie

pomyśleć o tym, jak to świadczy o nim jako człowieku. Tak jakby w jakiś sposób potrafił go uleczyć tylko stres.

Klatka schodowa jest pogrążona w ciszy.

„Czy on się zatrzymał? Czekają na mnie?”

John spogląda w górę i dół między schodami, nic jednak nie widzi. Od adrenaliny i frustracji drżą mu nogi.

„Muszę zaryzykować”.

Biegnie w górę. Przeskakuje po dwa stopnie, jednocześnie podciągając się lewą ręką, aż dociera do trzeciego piętra.

Znów podejmuje decyzję i wchodzi wyżej. Jeśli Kurt pobiegł na czwarte i ostatnie piętro, jest załatwiony. John nie może zadzwonić po pomoce, prawie wszyscy są w hucie, a Jimmy'ego nawet nie warto wzywać.

„Poza tym nie mogę się w tej chwili tym zajmować”.

Nie może też jednak zrezygnować. W korytarzu może pójść w prawo albo lewo. Kurt może być w jednej z sal albo... Po prawej stronie wisi folia. Przykurzone płyty ceramiczne na podłodze zdradzają, że trwa remont. Folia delikatnie się kołysz, ale poza tym całe piętro jest jak wymarłe.

Znów ryzykuje, a z każdą taką decyzją szanse na dopadnięcie Kurta maleją. John przeklina w duchu. Wreszcie postanawia.

Odchyła folię i idzie dalej korytarzem. Wózek z płytami gipsowymi, bębny z kablami, odcięte przewody zwisające z drabinek i ani jednego robotnika.

Idzie ostrożnie naprzód, zauważa oparty o ścianę łom i zabiera go. Przypomina sobie, że musi zdać egzamin na strzelnicę.

Gdzieś w oddali coś skrzypi i serce Johna uderza szybciej.

Przełyka ślinę. Robi kilka kroków z uniesionym łodem. Dawno już się nie bił, ale ma nadzieję, że tego się nie zapomina.

– Chcę tylko porozmawiać – próbuje, ale odpowiedzi nie ma. Tylko całkowita cisza.

„Jak on, kurwa, może być tak cicho?”

Zagląda do jednej sali, która wygląda, jakby eksplodował w niej granat. Idzie dalej, zerka do następnej, podobnej do tamtej, nie licząc wentylatora

budowlanego mruczącego na środku. Szybkie spojrzenie na korytarz.

„Jeszcze siedem sal...”

John idzie ostrożnie, spięty i przygotowany na najgorsze. Jeśli Kurt ma nóż, John nie ma większych szans mimo łomu.

Kolejne dwie sale po obu stronach. Szybkie spojrzenie do środka, a potem błyskawiczne wycofanie głowy na wypadek, gdyby Kurt miał broń albo postanowił ruszyć przed siebie. John znów zagląda, tym razem wolniej. Jedna sala jest już częściowo wyremontowana, a druga wydaje się pomieszczeniem socjalnym. Stół i kilka krzesel. Kubki z kawą, solniczka i młynek do pieprzu.

Z pomieszczenia znajdującego się dalej znów dobiega jakiś dźwięk.

John przełyka ślinę i sapie, mimo że porusza się ślimaczym tempem. Zaciska zęby i próbuje się uspokoić.

– Kurt, chcę tylko porozmawiać o Sarze. Wyjdz.

Brak odpowiedzi.

Kurt prawdopodobnie już jest daleko, a John czuje się jak idiota. Boli go górna część lewego ramienia, gdzie stuknięci przestępcy z grupy Lwów Afryki postrzelili go niedawno. To była powierzchowna rana. Pewnie znów zaczęła krwawić.

„Jeszcze pięć sal...”

Kolejne dwa pomieszczenia wyglądają na bardziej wykończone, w nozdrza wwierca się ostry zapach farby.

„Żeby malować, wystarczy machać ręką” – myśli John, przypominając sobie słowa ojca. Patrzył z góry na większość ludzi, w tym Johna.

Odsuwa obraz ojca i ostrożnie idzie naprzód. Łom wydaje się coraz cięższy, a chwyt coraz słabszy.

„Jeszcze trzy sale...”

John robi kilka ostrożnych kroków i szybko zagląda do pomieszczenia z lewej strony. Na oknie powiewa folia, to ten dźwięk słyszał. Odpręża się trochę.

Gdy kieruje wzrok w prawo, w jego stronę zbliża się coś ciemnego i szybkiego.

- Ty draniu - syczy.

– Antonio strzelił do zakładnika – mówi ostrym głosem Mona, a cała stróżówka wstrzymuje oddech. Na zewnątrz deszcz przybrał na sile i z pozatykanych rynien leją się prawdziwe wodospady. Przez kilka sekund jedyne dźwiękami są pluskanie i chlupotanie wody.

Na ekranie widać, jak mężczyzna, który próbował zaatakować Antonia, leży, krwawiąc, na podłodze.

– Boże – szepcze Kim, serce wali jej tak szybko, że nie dogoniłby go nawet Usain Bolt.

– Juliette, widzisz go? – woła Mona do radiotelefonu.

– Nie. Zaciągnął zasłonę, ale widzę ofiarę i zakładników. Mogę strzelać na ślepo.

– Nie, nie rób tego. On zabije następnych. Czekaj.

Mona patrzy na Kim, która przygląda się Ackermannom. Drżącymi rękami Kim wybiera numer i dzwoni do Antonia. Słychać następujące po sobie sygnały... wreszcie milkną. Dzwoni znowu.

Wzbiera w niej płacz, przeciska się w górę jak potwór wychodzący ze starej studni. Próbuje skontaktować się jeszcze raz. Nie może odpuścić szansy, która ciągle istnieje. Dusi łyzy. Ponownie wybiera numer. Nagle przed kamerą pojawia się cała twarz Antonia. Patrzy wściekłym wzrokiem, z zaciśniętymi ustami.

„Proszę, Antonio” – myśli Kim, pokazując mu słuchawkę telefonu, aż wreszcie dociera do niej, że chociaż oni widzą jego, to on ich nie.

Adrenalina zaczyna szaleć i Kim znowu dzwoni. Chce, żeby odebrał i już nikogo nie skrzywdził ani nie zabił. Czuje się odpowiedzialna, a wyrzuty sumienia owijają jej się wokół kręgosłupa i zaciskają.

Kim czuje się fatalnie i z rezygnacją odchyła się na krześle. Patrzy na ekran, jak szalony uśmiech rozlewa się po twarzy Antonia. Odbiło mu,

podjął kolejną decyzję utrudniającą jej skłonienie go, by się poddał.

„Decyzja, z której nie można się wycofać” – myśli.

– Ackermannowie – mówi nagle Antonio, a wszyscy w pomieszczeniu sztywnieją. Wszyscy poza Evą i Rolfem. – Gdzie oni są?

– Tutaj.

Patrzy na nich, a Eva potrząsa głową. Rolf poprawia krawat.

– Porozmawiajcie z nim – zachęca Kim, ale Eva najwyraźniej wcale nie ma ochoty się odzywać. – Pomyślcie o Carlu.

– Pff. – To jedyne, co wychodzi z ust Ewy.

– Jeśli tu nie przyjdą, zabiję wszystkich – grozi Antonio, a jego oczy wyglądają teraz jeszcze bardziej dziko. Ma spocone czoło i przekrwione oczy.

„To gorączka” – myśli Kim. Jest coraz bardziej zła na Ackermannów. Nie tylko Antonio Alvarez podejmuje fatalne decyzje. Jak mogą być tacy nieczuli?

Eva bierze słuchawkę. Przykłada ją do ucha, mimo że dźwięk dochodzi z głośnika, który Valle postawił na stole.

– Ile chcesz? – pyta spokojnie.

– Chcę tylko prawdy. Chcę, żebyście się przyznali, co zrobiliście, i wynagrodzili to wszystkim, których zamordowaliście.

– Oszalałeś. Kim ty w ogóle jesteś?

Antonio obraca kamerę w stronę Carla. Robi zbliżenie i wnuk Ackermannów patrzy prosto w obiektyw zmęczonymi, zaczerwienionymi oczami.

– Nie negocjujemy z terrorystami, rób sobie, co chcesz – mówi Eva i odkłada słuchawkę. Patrzy na Rolfa, który kiwa głową.

– Oszalałaś?! – krzyczy Kim.

– Musisz chyba być ostrożniejsza, dziewczyno – odpowiada Eva, a Mona kładzie rękę na ramieniu Kim.

Ta strząsa ją ze złością.

– Właśnie załatwiliście, że on zabije waszego wnuka i pracowników. Jak możecie być tacy bezduszni?

– To przecież terrorysta, jak możesz tego nie widzieć? Szaleniec, który stracił rozum. Nie zastrzelili ich, są jego jedynym argumentem.

– Mona? – próbuje Kim, ale policjantka wydaje się zagubiona i nie bardzo wie, co ma robić. Nikt z nich nie wie.

– Naprawdę uważasz, że to nasza pierwsza sytuacja z zakładnikami? – dodaje Rolf. – Mamy firmy w Afryce i Ameryce Południowej. Wszystko zawsze kończy się tak samo. My wygrywamy.

Eva potwierdza skinieniem głowy.

– Zadzwońcie, kiedy ten okropny człowiek będzie już martwy – poleca i wychodzą ze stróżówki.

Dopiero teraz Kim zauważa dwóch ochroniarzy, którzy wyglądają bardziej jak żołnierze z elitarnej jednostki. Stali przed stróżówką, a teraz otwierają tym ludziom drzwi do samochodu.

Eva i Rolf coś mówią, a ochroniarze chyba ich uważnie słuchają, spoglądając raz po raz na hutę. Jeden z nich wykonuje zamaszysty gest. Eva wygląda, jakby coś gniewnie mówiła, a dwaj goryle kiwają głowami. Jak to możliwe, żeby ta stara kobieta ma tak ogromną władzę nad ludźmi?

Kim ma wrażenie, że zamieniła się w kamień. Nie może ich zrozumieć, nie może pojąć, że Eva jest taka zimna. Patrzy na ekran, który znów oddalono. Antonio chodzi w tę i z powrotem, mruczy coś do siebie i raz na jakiś czas przykłada sobie pistolet do czoła. Znika z ekranu, a po kilku sekundach znów się pojawia, z kanistrem.

Kim od razu rozumie, co się dzieje, zanim jeszcze Antonio zaczyna wylewać zawartość na ustawione pod ścianą osoby, które głośno krzyczą. Rzuca kanistrem o ścianę i wpatruje się w kamerę.

Na stole dzwoni telefon, Kim boi się podnieść słuchawkę. Jest jak kobra, która może ją ukąsić, ostatecznie jednak odbiera.

– Antonio, proszę, nie rób nic głupiego.

– Gdzie są cholerni Ackermannowie? – krzyczy, a głośnik piszczy.

„Tak nie można. Muszę coś zrobić”.

Kim wpada na pomysł. Nie ma nawet czasu na zastanawianie się, czy jest dobry, czy fatalny. Widzi, że Alvarez jest na najlepszej drodze do peł-

nego szaleństwa. Kim z doświadczenia wie, że najlepszy sposób to kontakt w cztery oczy. Mowa ciała i wyraz twarzy są równie ważne jak słowa. A nawet ważniejsze. Miała praktyki w szpitalu Säter, gdzie spotykała naprawdę szurniętych ludzi. Antonio nie jest psychicznie chory, a ona jest pewna, że gdyby tylko mogła się do niego dostać, to bardziej się przyda.

– Załatwię to, poczekaj pięć minut – mówi.

Odkłada słuchawkę i otwiera drzwi do stróżówki, kiedy zaskoczona Mona woła za nią, żeby się zatrzymała.

Kim chwytą za ramię reportera i operatora kamery.

– Idziecie ze mną.

Ignoruje deszcz chłoszczący ją po twarzy i biegnie w stronę budynków.

John uchyla się przed grubą dechą, którą Kurt Strand wymierzył mu cios w głowę. Nie trafił, deska przesuwa się tylko po przodzie koszuli. Kilka drzazg wbija się w skórę, a John uderza mocno łomem, wytrącając Kurtowi drewno z ręki. Wali jeszcze raz w ciało i słyszy, jak pęka jedno z żeber przeciwnika.

– Kurwa! – jęczy Kurt i rusza bykiem na zupełnie nieprzygotowanego na to Johna. Uderza w niego z całą siłą, John tyłem wypada na korytarz i się przewraca. Czuje potężne pieczenie w lewej kostce.

Kiedy wstaje na nogi, Kurt jest już o kilka metrów dalej i biegnie w głąb budynku. Chowa się za następnym płatem folii i staje się zamazaną sylwetką, która odbiega coraz dalej i dalej, razem z odpowiedzią na pytania o to, co stało się z Sarą i Mattiasem.

John krzyczy, podnosząc się. Coś jest nie tak. Musiał krzywo stanąć. Może skręcił kostkę?

„Rozchodź to, do cholery” – myśli, podnosi łom, który upuścił podczas upadku, i kuśtykając, podejmuje pościg.

– Kurt! – wrzeszczy, a wściekłość we własnym głosie niemal go przeraża. – Nie ma sensu uciekać, i tak cię dopadnę! Chcę tylko porozmawiać!

Za foliową płachtą zauważa pośrodku pomieszczenia spiralne schody. Schody, które wibrują. Kiedy podchodzi do poręczy i patrzy w dół, widzi biegnącego Kurta.

„Co ja bym dał za jakąkolwiek broń...”

Ale to nieprawda. Jeśli zastrzeli Kurta, wróci do tego samego punktu, w którym był przedtem – pozostanie bez odpowiedzi. Zgrzyta zębami, kiedy skręcona kostka krzywo łąduje na najwyższym stopniu schodów. Zaciśnięta szczęka i rusza w dół po spirali szaleństwa. Mijają parter. Kurt znów zmierza do piwnicy. John za nim, chociaż jego noga dziko protestuje. Nie ma na to rady. Chyba nie jest złamana. Można to wytrzymać. Po tym ostat-

nim roku – a prawdę mówiąc, po całym życiu – jest mistrzem świata w wypieraniu bólu.

Każdy krok odczuwa tak, jakby ktoś wbijał mu nóż w kostkę.

Kiedy dociera do piwnic, znajduje się w większej sali. Betonowa posadzka. Betonowe ściany, które już zaszpachlowano, ale jeszcze nie pomalowano. Tu i tam reflektory. Biegnące w różne strony korytarze. Powietrze jest chłodne i pachnie pyłem i farbami. Ktoś zaczął przyklejać taśmę malarską na nowiutkich listwach pod sufitem, ale dotarł tylko do połowy. Na brudnej posadzce teoretycznie powinny zostać ślady butów uciekającego mężczyzny, ale giną wśród wszystkich innych. Tych pozostawionych przez budowlańców. Cała ta sala jest dziwaczną kompozycją silnego światła reflektorów i gęstej ciemności poza ich zasięgiem.

John staje. Wstrzymuje oddech. Nagle słyszy sapanie z korytarza po prawej stronie.

„Mam cię, sukinsynu”.

Kuśtyka, ściskając łom spoconymi dłońmi. Przez chwilę widzi siebie samego jakby z boku i przed jego oczami pojawia się obraz Jacka Torrance’a z Lśnienia, jak z toporem w rękach biegnie, kulejąc przez labirynt z żywopłotu.

John odsuwa od siebie tę wizję. Musi się skupić. Wchodzi do korytarza, w którym remont wydaje się bardziej zaawansowany, i widzi, jak w oddali powoli zamykają się drzwi. John dziękuje Bogu za szwedzkie przepisy przeciwpożarowe wymagające, żeby wszystkie drzwi otwierały się na zewnątrz. Gdyby było odwrotnie, nie zauważyłby tego. Odchrząkuje i woła:

– Widzę cię, Kurcie Strand. Jesteś w pułapce!

Kurt nie ma bronii, to pewne. Gdyby miał, to nie wymachiwałby tą cholerną deską. John kuśtyka do zielonych drzwi z napisem „SZATNIA” i kartką „ŚWIEŻO MALOWANE”. Sięga do klamki. W kieszeni wibruje mu telefon. Ignoruje go. Powoli otwiera drzwi, cofając się jednocześnie o krok. Nie ma ochoty dostać dechę w głowę.

Szatnia jest gotowa. Nawet wymalowana. John maca ścianę przy drzwiach, szukając włącznika, znajduje go i dziękuje elektrykowi, kiedy

włączają się świetlówki pod sufitem. Szybkie spojrzenie pozwala stwierdzić, że to jedyna droga do tego pomieszczenia.

Czuje, jak ogarnia go spokój – o złowieszczym uśmiechu i ostrych dźwiękach. Dopadł go. Naprawdę. Staje w drzwiach.

– *Heeere's Johnny!* – woła głośno, żeby sprowokować reakcję.

Brak odpowiedzi.

– Kurt, słuchaj. Nazywam się John Wagner. Ale to już wiesz, bo obserwowałeś mój dom. Moją żonę. Ja mam pytania, a ty na nie odpowiesz. Nigdzie nie pójdziesz, póki tego nie zrobisz.

Znów telefon wibruje w kieszeni. John wchodzi do szatni i rozgląda się dookoła. Na prawo toaleta. Zamknięte drzwi. John przetyka ślinę, przesuwając się do przodu na tyle zgrabnie, na ile pozwala mu bóla stopa, i gwałtownie otwiera drzwi, trzymając drugą ręką łom wysoko nad głową.

„Pusto”.

Wzdłuż ścian stoją rzędy szafek, a na końcu widać łuk przejścia prowadzącego do pryszniców. Jest tylko jedno miejsce, w którym Kurt może się ukrywać – właśnie tam.

Trzymając przed sobą łom, John powoli, utykając, zbliża się do wejścia. Nerwowo zerka na mijane szafki. Kurt mógłby się zmieścić w jednej z nich, gdyby się mocno postarał, ale... nie wydaje się to prawdopodobne. John zbliża się krok po kroku. Znów telefon.

„O co chodzi?!”

Ledwie skończył tę myśl, a odzywa się policyjny radiotelefon. Tu w piwnicy odbiór jest kiepski, ale słyszy, że to Mona.

– Do diabła... John... przyjdź tutaj!

„Co?” – John zatrzymuje się w pół kroku. Skupia się teraz na krótkofalówce.

– Kim! – woła zestresowana Mona. – ...Nie może... wejść! Słyszysz mnie, John? Kim poszła do Alvareza!

Gdy do Johna dociera, co mówi Mona, i ziemia usuwa mu się spod nóg, spod pryszniców wypada Kurt jak ryczący buhaj.

„Nie!”

John rzuca się do przodu i przygniata przeciwnika. Kurt nie jest szczególnie dobrze zbudowany, chociaż wygląda na twardziela. A w tej chwili w mięśniach Johna pojawił się nowy ogień. Upuszczając łom i zmagając się z Kurtem, słyszy w głowie słowa Mony. Kim. U tego psychologa. Kurt wali go w szczękę, ale John prawie tego nie czuje. Przepychają się i uderzają w rząd szafek z taką siłą, że otwiera się kilkoro drzwiczek.

„Alvarez już strzelił do kilku osób”.

John jest jednocześnie tu i tam. Uderza mocno Kurta, który się zatacza. Trafił we właściwe miejsce, przez co przeciwnik stracił impet. John przyciska go do szafek, gdy w radiotelefonie znów odzywa się głos Mony. Sprawia wrażenie śmiertelnie przerażonej. John uderza Kurta dwa razy w brzuch i przychodzi mu do głowy pewien pomysł.

Korzystając z tego, że przeciwnik jest zdezorientowany i z trudem oddycha, John wciska go do jednej z szafek. Kiedy ten zdaje sobie sprawę, co się szykuje, wstępują w niego nowe siły, ale daleko mu do Johna, który ma przed oczami obraz Kim stojącej na celowniku Alvaraza. John krzyczy, potrząsa Kurtem i wciska go całego do środka, po czym przytrzymuje drzwi. Zauważa oczka, do których wkłada się kłódkę. Chwyta leżący obok dziegielnicowy zgięty gwóźdź i blokuje nim drzwiczki.

Cofa się o krok.

Oddycha.

Mruga mocno powiekami, żeby pozbyć się pyłu z oczu.

Kurt w szafce wyje z wściekłości i bólu. Naciska na drzwi, ale jest tam tak ciasno, że nie ma szans na przyjęcie odpowiedniej pozycji. Prowizoryczna kłódka wytrzyma.

„Czy ty całkiem oszalałeś? – podszeptuje mu mózg. – Naprawdę chcesz go zostawić, kiedy w końcu go dopadłeś?”

John ociera twarz, ciężko oddychając po tych krótkich zapasach.

„Nie zostawić. Tylko zrobić sobie przerwę”.

A jednak ma wątpliwości. Dopadł Kurta. Tutaj. Ale kiedy z radia znów dobiega głos Mony, w którym słychać wielką desperację, nie ma już o czym mówić.

John mocno wali w drzwi szafki, na co Kurt reaguje krzykiem.

– Nigdzie nie odchodź – poleca. – Zaraz wracam.

Kuśtyka do drzwi i wyjmuję krótkofalówkę z kieszeni.

– Mona – mówi drżącym głosem. – Już jadę.

„To może być mój najgłupszy pomysł od czasu, kiedy po pijaku kupiłam lodową wannę z telezakupów za kilka tysięcy” – myśli Kim w korytarzu, ciągnąc za sobą przerażonego młodego reportera i brodatego operatora.

Ma ze sobą ludzi z telewizji. Poziom desperacji jest wysoki, ale adrenaliny jeszcze wyższy.

„Co ja tu, kurwa, odwalam?” – myśli, ale zmierza przed siebie.

To był zawsze jej problem. Gdy chodzi o innych, nigdy nie dba o własne bezpieczeństwo. Tak szczerze, biorąc pod uwagę, ile razy sama stawiła czoło szaleńcom, powinna już dawno nie żyć.

„Ale jakoś zawsze mi się udawało”.

Jej opiekun w szpitalu Säter powiedział kiedyś, że ma dar, który jednak pewnego pięknego dnia sprowadzi na nią śmierć.

W tej chwili Kim się zastanawia, czy nie miał przypadkiem racji. Wystarczy źle dobrane słowo, niezręczne sformułowanie z niewłaściwym tonem głosu, żeby człowiek podjął impulsywną i brzemienną w skutki decyzję.

– Czy to jest mądre? – pyta idący za nią reporter.

– Nie, ani trochę – odpowiada Kim.

– Tak podejrzewałem.

Mimo że jest ich troje i mają ze sobą kamerę, Kim czuje, że idą na wariata. Wiedzą tylko to, co widzieli przez kamerę Antonia, a przecież może mieć przy sobie bombę. Kurwa, może wszystko zaminował albo założył pułapki.

Kim nie ma żadnej broni. Niczego, poza własnymi umiejętnościami rozumienia i przekonywania ludzi. Oraz tego, o co prosił Alvarez.

„A przynajmniej połowy”.

Chciał Ackermannów i dziennikarza. Może się uspokoi, kiedy dostanie ją i ekipę telewizyjną? Kim ma taką nadzieję. Piekło i szatani, jakże wielką nadzieję.

Trochę im zajęło znalezienie drogi, budynek przypomina labirynt, ale chyba wreszcie dotarli na właściwe miejsce. Są tylko kilka metrów od drzwi do pomieszczenia socjalnego, gdzie Alvarez przed chwilą oblał zakładników benzyną.

Kim nie panuje nad wyobraźnią, która podsuwa jej przeróżne obrazy. Widzi, jak Antonio wciąga ją do środka wraz z dwoma przyprowadzonymi mężczyznami, zamyka, a potem podpala razem z pozostałymi.

Kolejny katastrofalny pożar do wielu podobnych, które od lat nękają December.

Kim się zatrzymuje. Przemyka oczy i bierze głęboki oddech. Odwraca się w stronę swoich towarzyszy i szepcze:

– On chce być wysłuchany. To jego największe pragnienie, jasne? Nie wolno nam niczego kwestionować. Musimy działać tak, żeby zrozumiał, że jesteśmy jego przepustką do spełnienia tego pragnienia. Że wreszcie będzie mógł wyrzucić z siebie to, co leży mu na sercu. Żadnych wątpliwości, wyśmiewania ani gróźb. Wszystko jedno, co myślicie. To się może potoczyć w naprawdę obrzydliwym kierunku. Okej?

Reporter, który wygląda na mniej więcej dwadzieścia pięć lat, z powagą kiwa głową. Operator ogląda się przez ramię i chyba się zastanawia, czy rzeczywiście ma ochotę w tym uczestniczyć, czy też powinien porzucić sprzęt i zwiewać.

Kim odmawia krótką modlitwę o to, by nie była to ostatnia rzecz w jej życiu, podchodzi do drzwi i mówi:

– Antonio? – Puka delikatnie. – To ja, Kim Cordell. To ze mną rozmawiałeś.

W pokoju panuje absolutna cisza i Kim już myśli, że to nie te drzwi, gdy odzywa się głos Alvaraza:

– Kłamczucha Kim Cordell. Czego tu, kurwa, chcesz, puta?

Kim zagryza policzek. Zmusza się, by nadać głosowi spokojny ton.

– Nie mogłam tu sprowadzić Rolfa i Ewy... jeszcze – dodaje szybko. – Mam tu jednak reportera z – odwraca się i sprawdza znaczek na mikrofonie – TV4 i operatora z kamerą. No i przyszłam ja. Antonio, jeśli wypuścisz pozostałych, to możesz zamiast nich wziąć nas, okej? Mnie i dziennikarzy. Wtedy będziesz mógł wreszcie opowiedzieć o wszystkich swoich krzywdach. – Milknie na chwilę, po czym kończy: – O wszystkim, co Ackermannowie zrobili tobie i twojej rodzinie.

Gdy zapada cisza, Kim ma nadzieję, że następnym dźwiękiem, który usłyszy, nie będą płomienie pochłaniające wszystkich po drugiej stronie drzwi.

John, trąbiąc wściekle, przeciska się przez tłum, który się rozstępuje i wrzeszczy na niego. Ludzie tłuką w samochód, a blacha dudni równie głośno, jak to coś w czaszce Johna. Policjant wciska mocno gaz, aż błocko pryska spod opon, co sprawia, że przynajmniej niektórzy się odsuwają.

„Skąd, do kurwy nędzy, wzięło się tu tyle ludzi?”

Jeśli rano była tu pewnie setka, to teraz jest już bardziej tysiąc. John zatrzymuje samochód tuż przed bramą i wygląda spoza wściekle machających wycieraczek. Axel Luo otwiera drzwi i ciągnie za sobą Johna odproszanego kuksańcami i przekleństwami.

Połowa jego duszy została z Kurtem, a drugą ciągnie do Kim.

Sam nie rozumie, co wyprawia. Przyjechał do December ze względu na Sarę i Mattiasa, ale teraz czuje, jakby znowu ich opuszczał.

Powinien był zostać z Kurtem. Wyciągnąć z niego każde słowo, obcęgami, jeśli będzie trzeba. Wybić z niego prawdę łomem, a dopiero później jechać tutaj.

„Nie mogę wszystkich uratować. A już zwłaszcza samego siebie” – myśli, wchodząc do stróżówki i patrząc na ekran, który wypełnia spocona twarz Antonia.

– Co się dzieje? – pyta, opierając się dłonią o ścianę.

– Sama się zastanawiam.

Mona trzyma ręce na biurku. Nie odrywa wzroku od ekranu.

– Kim po prostu wybiegła do zakładników.

– Kurwa! – klnie John.

– Ja pierdołę – dodaje Valle.

Antonio znika z ekranu, a John czuje, że serce wyrywa mu się z piersi. Kurt czy Kim? Jego rodzina czy Kim? Wybór powinien być oczywisty, a jednak jest tutaj...

– Juliette, widzisz coś? – pyta Mona.

– Gówno – odpowiada radio.

– Gdzie są Ackermannowie? – zastanawia się John, rozglądając się po pomieszczeniu.

– Odjechali.

– Jaja sobie robisz.

– Nie. Antonio oblał zakładników benzyną albo czymś takim, nie wiemy dokładnie. Jeśli się dowie, że Ackermannowie pojechali, może mu całkiem odbić. Kim zabrała ze sobą reportera i operatora, a ja nie mam pojęcia, co zamierza zrobić. Najdrobniejszy błąd, a koleś pociągnie ze sobą wszystkich do płonącego piekła.

– Na sto procent – mówi Valle, przeciągając dłonią po włosach.

Wszyscy wyglądają na zmęczonych. Stres i niepokój tańczą walca na ich twarzach. Myśleli, że ten obłęd z trupami w jeziorze, fabryką amfetaminy, a potem wielką strzelaniną, który dopiero co przeżyli, to najgorsza rzecz, jaka może się im przydarzyć. Jakaś kulminacja. A się okazuje, że to tylko preludium do jeszcze większego szaleństwa.

„Teraz powinni wkroczyć ludzie z NOA. Gdzie oni, kurwa, są?”

– Status operacyjnych? – pyta John.

Mona patrzy na zegar.

– Nie wiem. Chyba powinni być za jakąś godzinę.

„Tyle nie możemy czekać”.

Zakładnicy widoczni na ekranie wyglądają na przerażonych. Krzyczą i gestykują. Niektórzy zamykają oczy i się modlą. Ktoś inny kiwa się w przód i tył, obejmując mocno rękami.

Na ekranie pojawia się Antonio z zapalniczką zippo. Mówi coś, patrząc na kogoś poza polem widzenia, prawdopodobnie na Kim.

Wchodzi Axel Luo.

– Dwóch idiotów przeszło przez ogrodzenie sto metrów stąd. Myślę, że to ci troglodyci od Ackermannów.

– Kurwa mać! – krzyczy Mona. – Musimy ich zatrzymać! Chodź!

Ciągnie ze sobą Axela i znikają w deszczu, a John zostaje.

– Czy ktoś zadzwonił po straż pożarną?

Valle odpowiada, że już jedzie. Myśli szaleją w głowie Johna, który gorączkowo ocenia sytuację i stwierdza, że można zrobić tylko jedno.

– Dawaj broń – mówi do Vallego, który unosi brwi.

– Nie wiem...

– Dawaj gnata albo wszyscy tam zginą!

Valle się wzdryga. Przelyka ślinę i wyciąga swojego sig sauera. John go bierze i wybiega, utykając jak Quasimodo. Sam ledwo może pojąć, że to robi, ale Kim jest w niebezpieczeństwie, a to coś pierwotnego w nim przejęło całą kontrolę nad jego działaniami. Kurt nigdzie się nie wybiera, w tej chwili najważniejsze jest bezpieczeństwo Kim.

„Nie mogę jej też opuścić”.

Biegnie w kierunku budynku, widzi, jak Mona i Axel pędzą tam, gdzie jest Juliette, aby odciąć drogę ochroniarzom. Ackermannowie musieli im rozkazać zająć się Antoniem. Myślą, że są najmądrzejsi.

„Jebane snoby, o niczym nie mają pojęcia”.

Mona informuje przez radio Juliette, że na teren przedostali się dwaj intruzi.

– Widzisz ich? – pyta.

– Nie – odpowiada Juliette.

To wszystko musi się źle skończyć, John przyspiesza, gdy niebo nadal nie przestaje się nad nim pastwić, okładając go mokrymi podmuchami. Przy każdym kroku kostka wyje jak śpiewaczka operowa, boli tak strasznie, jakby miała za chwilę eksplodować.

W oddali nagle otwierają się jakieś drzwi, przez które wypada część zakładników. Serce podchodzi Johnowi do gardła. Kim udało się przekonać Antonia.

Albo uciekli, a Kim nie żyje...

Serce wraca na swoje miejsce. John próbuje przebić się wzrokiem przez lzy, ale nie wygląda, żeby wśród biegnących ludzi byli Kim albo Carl Ackermann.

Czuje zapach zakładników, zanim do nich dociera. Benzyna.

- Gdzie jest Kim? - pyta, ale nikt nie odpowiada. Przebiegają obok niego w panice. Niektórzy zdzierają z siebie przesiąknięte benzyną części odzieży, rozbierają się do naga przed kamerami, które chciwie wszystko pochłaniają. Mózdek przejął nad nimi kontrolę, chcą jak najszybciej pozbyć się tej benzyny, uciec z tego miejsca. Od szaleństwa Antonia Alvara.

John krzywo staje na kamieniu, potyka się i przewraca, teraz czuje, że coś w jego kostce się uszkodziło. Leży na ziemi, trzymając się za stopę. Chce przeklinać i wrzeszczeć z bólu, ale nie ma na to czasu. Rycząc, zdiera z siebie kurtkę, a potem koszulę. Odrywa rękaw i zawiązuje prowizoryczną opaskę, gdy deszcz chłodzi jego plecy lodowatymi, ostrymi jak brzytwa kroplami. Mocno obwiązawszy staw, znowu naciąga na siebie przemoczoną koszulę, a potem kurtkę. Kamizelka, którą dostał od Mony, została w stróżówce. Chciał ją założyć, ale... jego mózg jest taki jaki jest, i w całym tym obłędzie zapomniał o niej.

John wstaje wyłącznie siłą woli. Maca prawą kieszeń. Sig sauer Vallego, mimo chłodu stali, zapewnia mu ciepłe poczucie bezpieczeństwa.

„Jeśli będę musiał, zastrzelę tego drania”.

Musi się dostać do Kim, inaczej coś jej się stanie albo jeszcze gorzej.

– Antonio, czy mógłbyś celować tym czymś w inną stronę? Boję się – mówi, żeby poczuł, że ma kontrolę, a przy tym nie kłamie. Jest potwornie przerażona.

Kim nie śmie nawet oddychać. Każdy oddech sprawia, że kręci jej się w głowie. Pomieszczenie socjalne jest teraz cichsze, kiedy wszyscy zakładnicy poza Carlem Ackermannem zostali uwolnieni. Deszcz bębni o szyby. Powinien to być dźwięk uspokajający. Opary benzyny przesycają jednak powietrze i wyciskają łzy z oczu. A ona nie może odwrócić wzroku od zapalniczki, którą cały czas wymachuje Alvarez. Wie, że jeśli przyjdzie mu do głowy ją zapalić, wszystko rozegra się w ciągu kilku sekund.

„Co ja tu, kurwa, w ogóle robię?”

Antonio jest szalony i chory. Poci się, z jego oczu wyziera nienawiść, a przy tym stara się utrzymać koncentrację.

Drżącą ręką trzyma przed sobą zapalniczkę, wpatruje się w nią, jakby mieszkała tam cała jego przeszłość, ale płomienia nie ma. Kim musi się skupić. Dobrze wie, dlaczego się tam znalazła. Jest jedyną osobą, która ma szansę załatwić tę sprawę, ale czuje się trochę tak, jakby stąpała po bardzo cienkim lodzie.

– Gdzie oni są? – pyta agresywnie Antonio. – Rolf i Eva.

Kim stara się mówić spokojnie.

– Nie przyjdą, ale mam coś lepszego. Możesz powiedzieć wszystkim Szwedom, dlaczego to robisz. Tak jak próbowałeś wcześniej. Wszyscy się dowiedzą, a Ackermannowie nie będą mogli nic na to poradzić.

Robi gest w stronę reportera, który nerwowo kiwa głową i wymachuje mikrofonem, żeby pokazać Alvarezowi, że może do niego mówić, jeśli chce.

– Wywiną się. Zawsze im się to udaje.

Kieruje broń w jej stronę, a potem w kierunku kamerzysty i reportera. I swojego czoła. Zgrzyta zębami. Znów celuje w Kim. I w reportera. Za każdym razem, kiedy lufa zatrzymuje się na niej, Kim czuje, jak coś kłuje ją w podbrzuszu, tak jakby miała stracić kontrolę nad pęcherzem. Nigdy w życiu nie była tak przerażona. Carl siedzi pod ścianą i wygląda na wyčerpanego, w całym pokoju koszmarnie śmierdzi benzyną.

– Nie tym razem, Antonio.

Kim ledwo śmie się ruszyć. Mówi najspokojniejszym tonem, jaki ma w repertuarze:

– Dlaczego to robisz? Opowiedz swoją historię, a potem możesz robić, co chcesz.

Antonio się zastanawia. Mamrocze coś po hiszpańsku i wpatruje się w nią rozgorączkowanymi oczami.

„Całe to miasto ma gorączkę” – zdążyła pomyśleć, zanim Antonio kiwnął głową.

– Czy możesz otworzyć okno? – pyta ostrożnie Kim, a jego spojrzenie się zmienia.

– Żebyście znowu mogli do mnie strzelić, puta?

– Przepraszam, masz rację. Mogę więc otworzyć tamto dalej. Od tych oparów kręci nam się w głowie. Tobie też.

On jednak potrząsa głową. Zaciska zęby i teraz celuje już tylko w nią.

– Siadaj. Jest wentylacja.

– Okej, zrobimy, jak chcesz. Ty tu rządysz. Ty masz kontrolę. Rozumiem. Filmujemy? – rzuca pytanie do tyłu i drżąc, opada na krzesło.

– Tak, jedziemy na żywo – odpowiada operator.

Reporter nieufnie podchodzi bliżej i trzyma mikrofon tak, żeby było słychać, co mówi Alvarez.

– Opowiadaj, Antonio. Od początku.

Przez kilka sekund wygląda na zdezorientowanego, tak jakby nie wiedział, od czego zacząć. Trze oko pięścią. Wzdycha. Robi krok do przodu. Potem do tyłu. Wygląda przez okno i sprawia wrażenie tak nieszczęśliwego, że Kim niespodziewanie opanowuje współczucie.

- To wszystko już nie ma znaczenia - mówi Antonio łamiącym się, chrapliwym głosem.

- Ma, jak najbardziej ma. Proszę cię, Antonio. Daj im usłyszeć swoją historię, inaczej nikt jej nie pozna.

- Zrób to, Antonio - zachęca Carl Ackermann ze swojego miejsca przy ścianie. - Nikt nie będzie bardziej zadowolony ode mnie.

Kim patrzy na Carla, zastanawiając się, jak on się w to wszystko wpa-sowuje. Wie, że zawsze był inny. Nigdy nie uważano go za spadkobiercę rodu, raczej często widywano w lokalach w mieście. Angażował się w ruch ochrony środowiska, a to niespecjalnie podobało się reszcie rodziny. Po-tem jednak nastąpił ten wypadek, więc załatwili tę sprawę. Chodził wła-snymi drogami, ale mimo wszystko był Ackermannem, Kim nic innego o nim nie wie.

- Okej - wzdycha Antonio, a psycholożka nieco się odpręża.

Reporter robi wdech, żeby coś powiedzieć, ale Kim podnosi rękę.

Najmniejszy błąd może w tej chwili wszystko zepsuć.

Antonio sprawia wrażenie, jakby ledwo trzymał się na nogach.

- Usiądź. - Kim wstaje i bierze krzesło. Przesuwa je do przodu, nie podchodząc zbyt blisko, i stawia je metr od niego. Potem cofa się i siada naprzeciwko.

Alvarez siada, patrzy w kamerę i rękawem ociera pot z czoła. Odchrzą-kuje i ciężko dyszy.

- Zaczęło od tego, że Maria zachorowała. Ciężko jej było cokolwiek ro-bić, ciągle była zmęczona i senna. Na nic nie miała siły. Myśleliśmy, że to przeziębienie, ale z miesiąca zrobiły się dwa, z dwóch sześć, a na koniec musiałem jej zagrozić rozwodem, żeby poszła do lekarza.

Wszyscy w pokoju siedzą w milczeniu i słuchają opowieści. Nawet Carl wydaje się wstrzymać oddech. Kim czuje, że tak samo jest teraz w całej Szwecji. Kiwa głową na znak, że rozumie, a on ma mówić dalej. Kiedy An-tonio zaczyna znów opowiadać o żonie, przez jego twarz przebiega uśmiech.

- Maria zawsze była silniejsza ode mnie. Nigdy nie narzekała, walczyła, chociaż ledwo mogła jeść. To wtedy się dowiedzieliśmy. Kiedy w końcu zgodziła się pójść do lekarza. Miała... miała przerzuty w całym ciele.

Traci głos i szlocha. Musi dojść do siebie, zanim będzie w stanie kontynuować.

- Wszędzie. Na skórze, w płucach, wątrobie, nerkach i pęcherzu. Umarła trzy tygodnie później. Nawet nie zdążyli zacząć chemioterapii. Według lekarza nie miałyby znaczenia, gdybyśmy nawet przyszli po pierwszych objawach. I tak by umarła.

Teraz w spojrzeniu Alvareza coś się zmienia. Znów pojawia się w nim gorączka. Gniew. Ton głosu się zaostrza.

- Nie mogliśmy tego pojąć. Oboje trenowaliśmy i dobrze się odżywialiśmy. Mieszkamy poza miastem w Stjärnebro, a ona pracowała z domu. Poprosiłem o raport z obdukcji, ale było za późno. Przez jakiś błąd już została skremowana i wszystko, co mi po niej zostało, to urna z prochami. Jestem pewien, że ta tak zwana pomyłka nazywa się Rolf i Eva Ackermannowie.

Antonio wciąga powietrze. Potrząsa głową. Coś mamrocze. Ociera pot i z wysiłkiem przełyka ślinę.

- Daj wodę - mówi Kim do reportera, który od razu wykonuje polecenie. Bierze butelkę i puszcza ją po podłodze do Antonia, który z wdzięcznością ją otwiera. Wlewa w siebie całą zawartość i przez minutę oddycha.

Pokój oddycha razem z nim, a zapach benzyny sprawia, że Kim okropnie kręci się w głowie. Bardzo ją poruszyła jego opowieść, co jednak nie znaczy, że Antonio ma prawo strzelać do ludzi i grozić, że spali ich żywcem. Kim jak mało kto wie o wściekłości, która przemienia się w pragnienie zabijania. Jeśli ktoś ma choć trochę rozumu, musi to ignorować. A jednak jest coś w jego tonie, wyglądzie i historii, co wkrada jej się pod skórę i wzbudza współczucie.

Carl Ackermann słuchał uważnie i potrząsał głową, jakby nie mógł uwierzyć w to, co słyszy.

– Mów dalej – zachęca, a ton jego głosu zdradza, że chyba jednak wie-
rzy. I być może nawet wie, co nastąpi dalej.

Antonio puszcza butelkę, która uderza w podłogę.

– Potem zachorował mój brat Jorge. Porzucił pracę w hucie. Jego żona
zmarła rok wcześniej na raka, a on przeprowadził się do nas. To nor-
malne, że człowiek opiekuje się rodziną, ale nie było łatwo. Dużo pił.
Oboje nasi rodzice odeszli kilka lat wcześniej. Też na raka, a kiedy i ja
zachorowałem, kawałki układanki zaczęły do siebie pasować. Z Jorgem było
to samo, co z Marią. I ze mną, a lekarz powiedział, że to może być dzie-
dziczne.

– Masz na myśli Reného?

Antonio powoli kręci głową.

– Nie, tego drugiego, starszego, który wyjechał, kiedy poszedł na eme-
ryturę.

Kim kiwa głową. Urban Hall był również jej lekarzem pierwszego kon-
taktu do czasu, jak dwa lata temu do December przybył René Hoffmann.

– Więc co się stało z Jorgem?

– Koniec był szybki, może dlatego, że tak dużo pił. Nie chciał się leczyć
i gadał, że i tak nie ma po co żyć. Nie życzył sobie, żeby ktoś go kroił.
Umarł miesiąc później. Moje życie się skończyło. Miałem tylko Marię
i jego. Kiedy również jego skremowali, wiedziałem, że to nie przypadek.
Przeciwnie. Nie wierzyłem, że można dwa razy popełnić ten sam błąd,
któs musiał stać za tymi chorobami i tak zwanymi pomyłkami z kremacją,
ale... nikt mnie nie słuchał.

Alvarez znów pochyla się na krzesło i patrzy na swoje ręce. Odchyła
kciukiem pokrywkę zapalniczki, a żołądek Kim rusza w przerażającą po-
dróż, jakby jechała kolejką górską z piekła rodem. Antonio wpatruje się
w kółeczko. Kładzie na nim kciuk. Kim czuje, jak pot cieknie jej po ple-
chach. Alvarez nagle jednak prostuje się i zamyka zippo. Mówi dalej, teraz
niewiele spokojniejszym głosem.

– Potem dostały raka dzieciaki z trzech innych rodzin. Wiedziałem, że
coś tu jest nie tak. Wszystkie rodziny w Stjärnebro były mniej lub bardziej
chore, ale nie mogłem zrozumieć dlaczego. Rak nie jest przecież zaraź-

liwy... podejrzewałem jednak, że to musi być coś w wodzie albo ziemi. Stare fabryczne budynki, które zlikwidowano dwadzieścia lat temu, kiedy postawiono nowe, stoją kawałek dalej w górę od naszej małej dzielnicy. Bliżej starych kopalni. Wiedziałem po prostu, że coś tam musi być. Stjärnebro leży tylko kilka kilometrów poniżej. Próbowałem trochę badać sprawę, ale jeden z tych rozpieszczonych dzieciaków Ackermannów przebudował przecież te stare budynki na luksusowe mieszkanie dla siebie. Potem ja też zachorowałem, ale zamiast pójść do Urbana Halla, pojechałem do Sztokholmu.

Antonio znów przełyka ślinę i patrzy na Kim. Teraz jego oczy są czarne od nienawiści.

– Arszenik. Wiedziałaś, że używają go w hutnictwie? I że jest go pełno w odpadach powstających przy produkcji stali? I że istnieją przepisy o tym, jak należy go używać i utylizować?

Śmieje się, lecz jest to krótki i pozbawiony radości śmiech. Zimny, cyniczny chichot.

– Wiecie, dlaczego ta miejscowość nazywa się Stjärnebro?

Kim potrząsa głową. Nie wie, co ma powiedzieć.

– To znaczy „gwiazdny most”. Kiedyś było to tak piękne miejsce, jakby leżało między niebem a ziemią. Jak most do gwiazd.

Alvarez kaszle, słyhać chrypienie aż w płucach. Krzywi się i chwytą za pierś, a w duszy Kim znów pojawia się współczucie. Na chwilę zagłusza ten drugi, oceniający głos.

„Kurwa mać. On rzeczywiście wszystko stracił. A jeśli to, co insynuuje, jest prawdą, to jest to największy ekologiczny skandal w historii Szwecji”.

– Miałem tak wysoki poziom arszeniku we krwi, że trudno było uwierzyć – mówi Antonio, pokrzepiwszy się wodą. – Skontaktowałem się z Urzędem Ochrony Środowiska i poprosiłem, żeby pobrali próbki wody i ziemi w okolicach Stjärnebro i przeanalizowali pod kątem wszystkiego, co im przyjdzie do głowy... ale nikt nie odpowiedział. Kontaktowałem się z każdym, do kogo mogłem dotrzeć, ale to było jak walenie głową w mur. Kto będzie słuchał historycznego gadania, kiedy sama rodzina Ackerman-

nów od razu potem dzwoni i stwierdza, że człowiek jest chory psychicznie?

Teraz Alvarez patrzy prosto w kamerę, jakby chciał spojrzeć w oczy każdej osobie w całej Szwecji.

– Zacząłem więc przeszukiwać stare archiwa i zbierać próbki gleby, które wysyłałem do analizy. Za wszystko płaciłem z własnej kieszeni. W końcu musiałem sprzedać dom, żeby mieć pieniądze na te wszystkie laboratoria. Opętało mnie pragnienie znalezienia przyczyny chorób w moim otoczeniu. I dostałem wyniki.

Alvarez wskazuje na okno i mającące w oddali góry.

– Cała gleba tam w górze jest pełna arszeniku, metali ciężkich i popiołów, a kiedy ludzie z Urzędu Ochrony Środowiska przyjechali do Stjärnebro, nie mogli uwierzyć. Nie ma tu prawie zwierząt, drzewa są blade, a roślinność równie chora jak ja. Kobieta z urzędu powiedziała, że całe Stjärnebro wygląda, jakby zapadło na jakąś straszną gorączkę. Potem już nigdy się nie odezwała.

– Uważasz, że to wina Ackermannów?

– Ja wiem, że to ich wina. Nie słuchasz mnie? Nasze miasteczko leży bezpośrednio poniżej starej huty i jednej z wielu zamkniętych kopalni. Bezpośrednio. Poniżej. Znalazłem dokument sprzed sześćdziesięciu lat. Ackermannów podejrzewano o składowanie tam odpadów, ale nie było dowodów... Arszenik jest jednak takim dowodem. Próbowałem się z nimi skontaktować, a wtedy zaczęły się dziać inne rzeczy. Zostałem wyrzucony z mojego mieszkania w mieście. To czyste zrządnienie losu, że mój brat miał myśliwski domek, w którym teraz mieszkam. Byłem zbyt chory, żeby pracować, i skończyły mi się pieniądze. Lekarz ze Sztokholmu powiedział, że jest już dla mnie za późno, że powinienem rozporządzić majątkiem i przygotować testament. Co za ironia! Już nic nie miałem, a wszyscy, których kochałem, nie żyli. Miałem tylko dowody. Raporty z laboratorium, stare artykuły i moje własne ciało.

Serce Kim krwawi ze współczucia.

– Tak mi przykro – mówi, a on wzdycha.

- To już nie ma znaczenia. Jeśli umrzemy, oni będą musieli przeprowadzić śledztwo.

- My? - pyta Kim i czuje, że jej serce zrobiło sobie przerwę na kawę.

- Tak, my. Biała puta jest warta setki razy więcej od takich jak ja. Wy nie możecie umrzeć bez wielkiej afery.

Znów otwiera zapalniczkę, a Kim, krzycząc w duszy z przerażenia, zdaje sobie sprawę, że nadeszła jej ostatnia chwila.

Juliette nie odrywa oka od lunety celownika, ale po minucie musi odpocząć. Rozluźnia palec na spuście i przeklina się za tamto pudło. Jedna milisekunda błędu i o dziesięć centymetrów za daleko. Z początku mogłaby przysiąc, że trafiła, widziała nawet bryzgającą krew, ale potem zrozumiała, że go tylko drasnęła.

Setki godzin ćwiczeń, a jednak jej się nie udało.

Kuca i rozgląda się za intruzami, o których ostrzegą ją Mona. Widzi w oddali ruch, podnosi karabin i patrzy w celownik. Zauważa biegnącego mężczyznę, wygląda, jakby dbał o kondycję w niedzielny poranek, jakby życie toczyło się spokojnie.

Porusza się inaczej niż reszta i niemal widać, że jest żołnierzem, ewentualnie byłym żołnierzem. Jego ruchy są miękkie, ale zdecydowane. Juliette widziała dużo amerykańskich seriali o siłach specjalnych i tam biegają w dokładnie taki sam sposób.

Ma go w polu widzenia, ale co ma zrobić? Nie może go przecież zastrzelić. Wiele lat temu starała się dostać do szkoły wojskowej, ale odrzucili ją, bo uczciwie powiedziała, że ma ADHD. Więcej tego błędu nie powtórzyła. Została więc policjantką, ale nigdy nie przestała marzyć o siłach specjalnych. Składała wnioski trzy razy. I trzy razy poległa.

Teraz jest właśnie kimś takim. Grupą zadaniową, jednoosobową, ale jednak.

Mężczyzna patrzy w górę prosto na nią. Podnosi rękę i kładzie ją na sercu.

„Co do...?”

Kurwa, jakiś odblask musiał ją oślepić. Facet jest zawodowcem i od razu znika.

Minutę później pojawiają się Axel z Moną. Nie biegną tak jak elitarni żołnierze. Alex pędzi naprzód, a Mona sztywno truchta za nim.

– Juliette do Mony. Jesteście minutę za jednym z nich – mówi do radiotelefonu.

– Zrozumiałam – dyszy Mona, a Juliette kieruje celownik znów na piętro, na którym znajduje się Antonio.

Ustawia się w pozycji do strzału. Jeśli będzie miała szansę, to tym razem nie spudłuje.

John właśnie stanął na nogi i zauważa, że przez lodowaty deszcz szczęka zębami. Kuśtyka dalej, każda sekunda jest droga.

Do drzwi jest dziesięć metrów, a on czuje się jak dwunożny ślimak. Dziś wszystko idzie źle.

Wydaje się, że deszcz próbuje go zatrzymać. Sara wierzyła w przeznaczenie, wierzyła też w energie, wszechświat i karty tarota. John raczej nie, ale w tej chwili byłby skłonny do niej dołączyć. Wszechświat robi wszystko, żeby go powstrzymać.

Może chodzi o to, że Antonio ma umrzeć. Sara mawiała, że we wszystkim jest jakiś cel, ale John nie chce w to wierzyć. Uważa, że człowiek ma wpływ na świat. Poza deszczem, ma się rozumieć.

Przeciąga dłonią po twarzy. Wypluwa to, co dostało mu się do ust. W December nawet deszcz smakuje inaczej. Tak jakby był chory.

Otwiera z wysiłkiem stalowe drzwi na klatkę schodową i jęczy, patrząc na schody.

„Kurwa!”

Wchodzi stopień za stopniem, o wbieganiu może zapomnieć. Słaby zapach benzyny sprawia, że stres narasta. John przeładowuje broń i wciska ją za pasek na plecach. Chwyta poręcz i krok za krokiem, wciągając się, podąża w górę.

– Juliette, widzisz dwóch mężczyzn, którzy się zbliżają? – W radiotelefonie słychać głos Mony, echo niesie się w górę po ścianach. – Ochroniarzy Ackermannów, widzisz ich?

John pospiesznie wyciąga radio i wyłącza je. Jeśli Antonio to słyszał, mogą być problemy.

„Ochroniarze – myśli. – Idą tu”. Porusza się tak szybko, jak tylko może. Z każdym malutkim kroczkiem jego kostka wyje. Ramiona zaczynają już

go boleć, patrzy w górę. Zostały dwa piętra.

W kieszeni wibruje telefon.

– Do diabła – szepcze, ale nie chce znów popełnić błędu, ignorując go, a poza tym potrzebuje kilku minut, by przyzwyczać się do bólu w przewidywalnie unieruchomionym stawie skokowym. Ostrożnie go obciąża, patrzy na ekran i odbiera: – Jimmy?

Starszy policjant wydaje się podniecony i nie marnuje czasu na uprzejmości.

– Co za gówno, John. Pieprzone gówno. – W tle słychać mlaskanie Bul-tena. – Miałeś rację.

– Co jest? – pyta John i krzywi się, gdy mocniej staje na lewej nodze, stwierdza jednak, że ścięgno działa.

Będzie mógł chodzić, a adrenalina pomoże. Przynajmniej przez jakiś czas. Kara nadejdzie później, kiedy wszystko się uspokoi, ale na to nie ma rady.

– Mówiłeś, że na pewno kluczem do wszystkiego jest rodzina, i to się zgadza, John. Zrobiłem, jak powiedziałeś, i poszperałem trochę na temat jego najbliższych. Teraz jestem w starym domku myśliwskim brata Antonia Alvaraza. Znalazłem w archiwum miejskim stary dokument transakcji między nim a jednym z bractw łowieckich. Kupił go tanio, kiedy oni zbudowali nowy domek, bo poza swoją pracą w hucie wykonywał dla nich drobne prace. Ale słuchaj teraz. Alvarez nie zamierza kogokolwiek wypuścić...

John czuje w piersi potężny ból, jakby kopnął go wściekły koń.

– Co ty gadasz?

– Nie zamierza wypuścić zakładników. Mam w ręce list. A to nie jedynie dokument, który leży w tym domku, mam tu całą skrzynię pełną papierów. Przejrzenie tego zajmie całe tygodnie. Ale na biurku leżał list. John... to jest...

– List pożegnalny? – John słyszy, jak jego słowa tłumi stres.

Jimmy milczy. Za długo.

– Halo?

Kiedy zaczyna mówić, ton jego głosu jest bezbarwny, a jednak pełen przerażenia.

– Niezupełnie. Nie wiem, jak to nazwać, może manifest. On chce zabić nie tylko siebie. Chce zabić jak najwięcej osób, bo jego zdaniem to jedyny sposób, by zmusić ludzi do słuchania.

Kurt bębni w blaszaną szafkę. Ten drań zostawił go tu zamkniętego, a on nienawidzi ciasnych pomieszczeń. Ma atak paniki, w gardle bulgocze mu od płaczu i strachu. Szuka w kieszeni telefonu, ale musiał go zgubić, kiedy John na niego skoczył.

– Wypuść mnie! – krzyczy, przeklinając Johna za wszystko, co w życiu zrobił.

Wali i tłucze, aż dzwoni mu w uszach. Próbuje wypchnąć drzwi kolanami. Boli go każda komórka ciała i w końcu daje za wygraną. Stara się oddychać tak, jak uczyła go matka, ale panika wciąż narasta. A potem dochodzi do niej wściekłość. Kiedy był mały, miewał czasami wybuchy złości. Rzuciły się na niego jak czarne ptaki, sam nie potrafił wyjaśnić, skąd brały siłę. Ale kiedy się pojawiały, wciągały wszystko. Latały jak oszalałe w jego piersi i głowie, aż w końcu widział tylko czystą, płonąca wściekłość. Matka nauczyła go jednak, że można próbować się z tego wyrwać, kontrolując oddech. Była jedyną osobą na całej ziemi, która potrafiła go uspokoić.

Ona... i Sara. Mieli być ze sobą na resztę życia. Mówili, że zestarzeją się razem. Kupili nawet obrączki i zaręczyli się, chociaż byli tacy młodzi. Z wiekiem Kurt nauczył się całkiem dobrze kontrolować swoje wybuchy. Potem jednak, w pierwszej klasie gimnazjum, pojawił się ten uraz. Odebrał mu całą przyszłość zawodowego hokeisty. Razem z kontuzją powróciły czarne ptaki.

Z oczu Kurta płyną wielkie łzy, jego ciałem, które bardzo nie chce tu być, wstrząsają dreszcze. Czuje się, jakby znowu miał siedem lat. Rzuca się jak oszalały, a matka robi, co może, żeby go przytrzymać i uspokoić. Albo jakby miał szesnaście lat, kiedy ptaki wróciły. A on wyżywa się na Sarze. Wściekłość ciągle rośnie, a on gównem może z tym zrobić.

„Sara...”

Ona być może też nie była taka jak inne, ale mawiała, że to dobrze. Że świetnie do siebie pasują. Poza tym była jego jedyną nadzieją na normalne życie i wyrwanie się z December. Sara miała plany sięgające po siedemdziesiątkę i dalej, tak jak on przed kontuzją. Kiedy marzenie o sportowej karierze przysło, była jego biletem do dalszego życia... ale on dał ciała i odbiło mu o jeden raz za dużo.

To właśnie wtedy zobaczyła jego prawdziwe ja, skończyła więc z tym. Błagał i prosił, ale zniknęła z jego życia. Zmieniła numer i wyjechała z December. Zostawiła go z samym sobą i marzeniami, którym urosły skrzydła i odleciały w dal. Samego z czarnymi ptakami i wybuchami wściekłości.

Kurt z całej siły tłucze w blaszaną szafkę. Bije i bije, aż zaczyna w nim płonąć gniew. Aż pojawia się nienawiść, która pokonuje klaustrofobię.

„Pieprzona Sara, zostawiła mnie. Pieprzona Sara, wyszła za gliniarza. Pieprzona Sara, była tylko moja...”

Kurt uderza, aż z kostek leci mu krew, ale ma to gdzieś. Musi się wydościć. Zanim John Wagner wróci i zażąda prawdy.

Kim oddycha przez usta i czuje smak benzyny, która mlaska pod podezwami. Antonio z trudem wciąga powietrze, jakby miał dziewięćdziesiąt lat, zapalniczka drży w jego dłoni. Kim mu współczuje, chociaż nie podobają jej się jego wybory. I jest bardzo przestraszona. Być może między nimi wszystkimi a śmiercią stoi już tylko empatia.

– Już wygrałeś, Antonio – mówi Kim, ale on prychnął. Białka jego oczu są przekrwione, a chociaż siedzi, drży na całym ciele.

„Ma gorączkę” – myśli Kim.

– Nie, dopiero jak oni trafią do więzienia.

– Ale teraz wszyscy wiedzą, co się stało. To już koniec.

Antonio wydaje z siebie ironiczny chichot.

– Jaki znowu koniec? Strzelałem do ludzi. Nic się nie skończy, dopóki nie umrę. To dopiero początek, rozumiesz?

Kim nie chce wiedzieć, co on ma na myśli, ale w duszy jest tego świadoma. On zamierza zabić wszystkich w tym pokoju. Kim żałuje teraz, że tu przyszła. Impulsywna część jej duszy znowu pozwoliła jej wejść na drogę, która może się skończyć tylko katastrofą. Kątem oka widzi drzwi prowadzące na korytarz. Bardzo ją kusi, by się do nich rzucić, ale to nie zdałoby się na nic. Po prostu strzeliłby jej w plecy.

A poza tym jeszcze się nie poddała. Wciąż jest szansa, że go przekona. Pomoże mu. Widzi jego ogromny smutek i rozumie go teraz w stu procentach.

Ackermannowie odebrali mu wszystko, co kochał.

– Nie, Antonio. Żeby to mogło żyć, to i my musimy. Jeśli zabijesz wszystkich tutaj, nikt nie będzie w tym dalej grzebał. Uznają cię po prostu za terrorystę i mordercę. Twoja historia zostanie pogrzebana w twoich uczynkach. Nie rozumiesz tego?

Antonio patrzy na nią, a tryby w jego głowie obracają się powoli. Jego rak, gorączka, sytuacja, benzyna. Wszystko to miesza się w jego myślach, spychając na bok logikę. Kim widzi to po jego twarzy.

Ma wielu takich klientów. Ludzi, którzy zafiksowali się na jakiejś myśli tak mocno, że trzeba by dynamitu, by ich od niej oderwać. A jako psycholożka nie ma wśród swoich narzędzi dynamitu, raczej młotek i przecinak.

– Antonio – mówi dalej. – Masz tu reportera, on będzie ten temat dalej drażył. Prawda?

– Tak, jasne. Jeśli to, o czym opowiadasz, jest prawdą, to będzie gigantyczny skandal.

Jego głos drży, ale brzmi szczerze.

Antonio spogląda na reportera.

– Wyglądasz na dwunastolatka. Ile masz lat?

– Dwadzieścia cztery.

Antonio uśmiecha się słabo.

– Dwadzieścia cztery... Jezus Maria. Mam koszulki starsze od ciebie. Naprawdę uważasz, że Ackermannowie, którzy na pewno reklamują swoje firmy w twoim kanale, na to pozwolą?

– Tak, rozdzielamy wiadomości i klientów.

Antonio patrzy na Kim, a ona zdaje sobie sprawę, że prawdopodobnie ma rację. Huty Ackermannów to warte miliardy przedsiębiorstwo z rozległymi kontaktami politycznymi. Mają tyle pieniędzy, że Sknerus McKwacz zzieleniałby z zazdrości.

– To nie ma znaczenia – mówi w końcu. – Za dużo ludzi słyszało to, co powiedziałeś. Zbyt wielu będzie się domagać odpowiedzi. Wygrałeś.

– Ale wy jesteście naiwni. To będzie sensacją przez tydzień. Ackermannowie już bywali w takich sytuacjach. Mamy teraz nowe czasy. Farmy trolli i całą resztę. Ludzie uwierzą tym, którzy krzyczą najgłośniej. A ja jeszcze nawet nie zacząłem krzyczeć.

Zapala płomień. Zamyka pokrywkę. Otwiera ją. Znow zapala.

Kim czuje się tak źle, że chce jej się wymiotować. Nie ma ochoty umierać, ale wie, że to jeszcze nie koniec. Miewała już szalonych klientów i ra-

dziła sobie z nimi.

Problemem nie jest jednak to, że Antonio jest chory psychicznie. Raczej opętała go myśl, która ocieka rozpaczą. Zalewa jego umysł jak lepki olej.

– Ja mogę zaświadczyć – wyrywa się nagle Carl Ackermann.

Antonio przełyka ślinę. Analizuje te słowa, patrzy zaskoczony na Carla i zamyka zippo.

– Mogę opowiedzieć o wszystkim, co oni robili.

– A dlaczego miałbyś to zrobić? – pyta Antonio, celując pistoletem w Ackermanna.

– Bo przez całe życie walczyłem o środowisko. To dzięki mnie przestawiliśmy się na bardziej ekologiczną produkcję. Mój głos jest mocniejszy od innych.

– On ma rację – potwierdza Kim, ale wcale nie ma pewności, czy Carl mówi prawdę.

– No tak, możesz przecież sobie wyobrazić, dlaczego nie ma tu moich dziadków. Nie jestem taki jak oni. Oni uważają, że jestem słaby. Na pewno nie widzą we mnie następcy. Do tego zadania przygotowywana jest Lena.

Kiedy wspomina o młodszej siostrze, jego słowa są pełne pogardy.

– Ale pracujesz w firmie – mówi Antonio.

– Tak, bo uważają mnie za młodego i słuchającego młodych. Nowe pokolenia to przyszłość, a oni o tym wiedzą. Jedyne, co ma znaczenie dla moich rodziców, to pieniądze i pozory. Scenografia ma być elegancka. To, co dzieje się za kulisami, nigdy ich nie obchodziło, o ile tylko generuje nowe pieniądze. Czas, żeby wzięli na siebie odpowiedzialność. Mogę zaświadczyć.

– Proszę, Antonio, oddaj mi zapalniczkę – próbuje ostrożnie Kim.

– Milcz, muszę pomyśleć.

Antonio upuszcza zippo, a wszyscy wstrzymują oddech.

Słowa Jimmy'ego kołaczą się w głowie Johna i sprawiają, że wpada w panikę.

„Manifest.... Chce zabrać ze sobą wszystkich w pokoju...”

John ma ochotę włączyć radiotelefon i krzyknąć, żeby zaatakowali budynek wszystkim, co mają. Powstrzymuje jednak ten impuls. To by nic nie dało.

Policja jest szybka, ale ogień szybszy.

Przełyka ślinę i z grymasem podciąga się na ostatni stopień schodów. Kuśtykając na płonącej z bólu kostce, mija podparte stoperem blaszane drzwi i wychodzi na korytarz, a potem do biura, które najwyraźniej zostało opuszczone w połowie tego, co miało być zwykłym dniem pracy. Na niektórych biurkach stoją kubki z niedopitą kawą. Na monitorach błyskają krzykliwe wygaszacze ekranu. Na jednym biurku leży odłożona na bok słuchawka telefonu. Ktoś zrzucił na podłogę stertę papierów. Jakiś korposzczur, który pewnie rzucił się do ucieczki, kiedy tylko dowiedział się o zagrożeniu.

„Odwrotnie niż Kim. Ona rzuciła się do środka”.

Na tę myśl John zaczyna się na nią wściekać, a jednocześnie czuje dumę. Powoli idzie przed siebie.

„W sumie oczywiste, że to zrobiła”.

Kim Cordell to taka kobieta, która jest przekonana, że może uratować cały świat, gdyby tylko ten świat się ogarnął i słuchał tego, co ona mówi.

„Może nawet ma co do tego rację, problem w tym, że świat rzadko słucha”.

Niedaleko przed sobą widzi drzwi do pomieszczenia socjalnego. Z tego co wie, w środku są Kim, dwóch reporterów, Carl Ackermann i Antonio Alvarez. Nie wiadomo, jak są rozmieszczeni. Zastanawia się, czy nie wkro-

czyć, strzelając. To jednak zbyt ryzykowne. Albo trafi kogoś z niewinnych, albo sprowokuje Alvareza. A poza tym jeśli trzeba na coś uważać w pokoju zalanym benzyną, to są to iskry. Nie, trzeba spróbować delikatnie. Przekonać go.

„Z Kim przy boku może się udać”.

Dotarł już do drzwi i przykłada do nich ucho, usiłując uzyskać w ten sposób jakieś informacje, ale jest całkiem cicho. Być może drzwi są za grube. Klnie w duchu. Czuje w kieszeni karty tarota. Od razu pojawia się myśl o Sarze. I Kurcie Strandzie.

Ma ochotę wrzasnąć, kiedy jego mózg zaczyna się stapiać w bezużyteczną kulę. Splot uczuć i myśli, które ciągną go jednocześnie w tysiąc różnych stron.

Na klatce schodowej zamykają się metalowe drzwi. Może to ochroniarze. A może Mona i Axel.

Nagle coś wyraźnie słyszy. Oddech Kim po drugiej stronie drzwi. To mu pomaga. Nie ma czasu na rozważania. Nie ma czasu na cokolwiek innego niż to, co się tu teraz dzieje. Zanim zdąży się powstrzymać, jak najdelikatniej puka w drzwi.

– Co do cholery! – krzyczy Alvarez po drugiej stronie.

– Nie! – woła Kim.

Wszyscy właśnie zdali sobie sprawę, że zapalniczka nie płonie. Kim pozwoliła sobie na głośne westchnienie i właśnie miała próbować uspokoić Alvarę i poprzeć propozycję Carla, kiedy ktoś puka do drzwi. Miętko i spokojnie, ale Alvarez podrywa się, jakby ktoś miał się tu włamać, prowadząc ze sobą całą gwardię narodową.

„Nie... nie teraz” – myśli Kim.

– Co do cholery! – krzyczy Alvarez, wstając gwałtownie i celując pistoletem w drzwi.

Kim, która domyśla się, kto przyszedł, czuje, jak krew przestaje jej krążyć.

– Nie! – Wstaje z krzesła.

Potem Alvarez oddaje strzał.

Pole widzenia Kim zabarwia się na czerwono, jej pięści zaciskają się, a serce wyskakuje z ciała i ucieka do lasu. Zabierając ze sobą rozsądek.

„Jeśli zastrzelił Johna, to go zabiję”.

Pocisk wybija dziurę w drzwiach trzydzieści centymetrów na prawo od głowy Johna, który odskakuje w bok. Wyciąga zza paska broń i staje plecami do ściany. Serce wali mu jak młotem. Kostka do rytmu pulsuje z bólu.

– Przestań strzelać, do diabła! – woła.

Przez kilka ciągnących się w nieskończoność sekund słyhać tylko ciszę, po czym przez dziurkę w drzwiach przeciska się głos Kim.

– John?

– To ja. Nie mam broni. – Wypowiadając to kłamstwo, patrzy na pistolet, który trzyma w ręce. – Chcę tylko...

Co ma powiedzieć? Wpada na pomysł i wyrzuca go z siebie, zanim zdąży ocenić, czy jest dobry, czy kiepski.

– Mam tu Rolfa i Evę!

– Jesteś ranny? – pyta Kim tak słabym głosem, że John nabiera ochoty, żeby ją przytulić.

– Nic nam się nie stało – odpowiada John. – Kula minęła wszystkich.

– Kłamiesz – rzuca Alvarez po drugiej stronie drzwi. – Nie ma ich tu.

„Kurwa mać”. Teraz zażąda, żeby Rolf albo Eva coś powiedzieli. Żeby udowodnić, że rzeczywiście tu są. „Może nie całkiem to przemyślałem”.

John przeklina swoje usta. Mają tendencję do wyskakiwania przed szereg, zanim zareaguje mózg, ale to było nawet jak na niego wyjątkowo głupie. Jak on ma teraz to rozwiązać? Gorączkowo przypomina sobie wydarzenia dnia. To, co widział i słyszał.

– Eva? Rolf? Jesteście tam? – pyta Alvarez.

„No dawaj, dawaj, dawaj...”

John próbuje wycisnąć coś z bezwartościowego motka, jakim jest jego mózg. I nagle ma! Mówi cicho, ale staje blisko otworu, żeby było słyhać,

że rozmawia, jednak nie można było zrozumieć, o czym. Potem czeka chwilę.

– Eva nie ma ci nic do powiedzenia, dopóki się tak zachowujesz. Zamierza stąd pójść, jeśli nie zagwarantujesz, że przestaniesz strzelać. Możesz to zrobić? – A potem dodaje nieco cichszym głosem: – Eva, nie odchodź, on już nie będzie strzelał.

Może zadziała. Nie da Alvarezowi czasu na myślenie.

– Otwieraj, Antonio. Żebyśmy mogli wejść. Są gotowi rozmawiać, ale tylko jeśli obiecasz, że nie będziesz strzelał. Okej?

I znów zapada cisza. Potem z drugiej strony słychać głos Carla Ackermanna.

– To twoja szansa. Myślę, że powinieneś ją wykorzystać.

Gdy John słyszy zbliżające się kroki, napina wszystkie mięśnie. Jeśli drzwi się otworzą, będzie miał tylko jedną szansę. Jeśli zawiedzie, wszyscy będą martwi.

Słysząc szcęknięcie zamka. John stoi gotowy i otwiera drzwi, a w chwili gdy Antonio zauważa jego pistolet, obaj oddają strzał. Huk odbija się od bębenków w uszach, jakby ktoś rzucił w nie cegłówką. John czuje pieczenie w prawym barku. Antonio osuwa się na ziemię.

„Chaos...”

– Nie! – krzyczy Kim i podbiega do Antonia. Pada na kolana i przyciska ręce do krwawej plamy, która rozplywa się po jego piersi.

John szybko oddycha i ma wrażenie, że pistolet to sto kilo stali i tyleż winy. Upuszcza go i cofa się o krok. Nigdy w życiu nie strzelił do człowieka. Zauważa skierowaną w jego stronę kamerę, a także Carla i reportera, którzy wydają się zupełnie zdezorientowani.

„Czy ja właśnie na wizji strzeliłem do człowieka?”

Na prawo od niego przeciska się dwóch mężczyzn w garniturach. Ich spojrzenia spotykają się, widzi też za nimi Monę i Axela z wyciągniętą bronią. Bark Johna, który przed chwilą tylko piekł, teraz zaczyna porządnie boleć.

„Co, do chuja... trafił mnie?”

Czuje, jak miękną mu kolana. Tak jakby próbowały go skłonić, by usiadł na podłodze.

Dwaj mężczyźni zauważają Antonia i wydają się usatysfakcjonowani. Kiedy Mona rozkazuje im się położyć na brzuchu, grzecznie wykonują polecenie i zostają zaobrączkowani.

„Jak roboty” – myśli John, patrzy w dół i zauważa krew przesiąkającą przez rękaw kurtki.

– Dlaczego? – syczy Kim z rozpaczą, patrząc na Johna. – Przecież już miał się poddać. Dlaczego do niego strzeliłeś?

„Wcale tak nie było” – myśli John, ale nie wypowiada tego na głos.

– Bo on strzelił do mnie – odpowiada i znów patrzy na własny bark. Trafiony dwa razy w ciągu tygodnia, jakie są na to szanse? Draśnięcie, jak mówią na filmach, ale teraz ból i krew napływają gorącymi falami. Przeżyje, nawet jeśli Antonio umrze. Ważne jest tylko to, że Kim żyje i wszyscy pozostali w tym pokoju też.

Opary benzyny otaczają go i uciekają na korytarz, to prawdziwy cud, że ogień nie wybuchł.

– Wszystko w porządku, John? – pyta Mona, gdy Axel przyciska ochroniarzy Ackermannów do ściany. Zauważa krew na jego ramieniu i się krzywi.

– Oczywiście – odpowiada niepewnie. W uszach dzwoni mu od huków wystrzałów. Znów odwraca wzrok w stronę Antonia, a Mona wzywa karetkę.

John próbuje się ruszyć, ale nogi go nie słuchają. Kolana wciąż żądają, by padł tam, gdzie stoi. Kostka wydaje się z nimi zgadzać. Tak jakby całe ciało się zbuntowało. Kim mówi uspokajająco do Antonia, uciskając jego ranę. Carl i reporter nie mogą oderwać wzroku od jego ciała i kałuży krwi rozlewającej się po podłodze.

John widział wiele ciał, ale nigdy kogoś, kogo sam zabił.

– Żyje?

– Puls jest słaby – odpowiada Kim.

John ma nadzieję, że Antonio przeżyje. Wie, że podjął słuszną decyzję, ale w sumie nie ma to znaczenia. Kim powiedziała, że Antonio właśnie miał się poddać. Że...

– Wyłącz tę cholerną kamerę! – wrzeszczy Mona, stając przed operatorem, który bez wahania wykonuje rozkaz.

Reporter zapomniał, po co tu przyszedł. Pewnie pierwszy raz widział, jak ktoś strzela do człowieka.

John kuśtyka w głąb pokoju, podczas gdy Mona wypycha na korytarz Carla i ekipę telewizyjną. Siada na krześle, bierze butelkę gazowanej wody i pije.

Kim co jakiś czas na niego spogląda. Ma zakrwawione ręce, włosy w nieładzie. John podziwia ją za to, co robi.

Trzeba było bardziej w nią wierzyć.

– Przepraszam – mówi, a ona kiwa głową. – Powinienem być ci zaufać.

Kim bierze głęboki oddech.

– Shit happens. Rozumiem, to nie twoja wina. To wina sytuacji.

– Kurwa – jęczy John słabym głosem.

Nie trzeba było wracać do policji. Gdyby tego nie zrobił, to wszystko by mu się nie przydarzyło. A jednak cichutki głos w głowie przypomina mu o manifeście Antonia. Wcale nie jest pewne, czyby się poddał. Równie prawdopodobne jest to, że John właśnie uratował Kim i pozostałych – trzyma się tej myśli jak dziecko nóg swojej matki.

Do pokoju wchodzi dwóch ratowników z pogotowia i przejmuje inicjatywę. Kim siada i odchyła się w tył. Blednie. Opiera ramiona na kolanach i zaczyna się trząść. Teraz, kiedy wszystko się skończyło, ciało wypuszcza z siebie cały stres i przechodzi w stan szoku.

Johna ogarnia współczucie dla Kim. Wstaje. Kulejąc, podchodzi do niej i klęka. Mocno ją przytula, a ona traci kontrolę nad sobą. Płacze mu w ramię, aż wreszcie kończą jej się łzy.

Ratownicy wynoszą Antonia, a oni zostają sami w pokoju.

– Dotarłam do niego – szlocha Kim. – Rozumiesz, udało mi się.

John opowiada o tym, co Jimmy znalazł w myśliwskim domku, a ona kiwa głową.

– Okej. Może tak, może nie. Teraz już nigdy się nie dowiemy, ale najważniejsze, że żyjemy. I że Antonio przeżyje.

„Wszystko szybko wraca do normy” – myśli Kim, kiedy przychodzą do stróżówki. Kiedy chce odsunąć włosy z twarzy, zauważa, że jej ręce są pokryte na wpół skrzepłą krwią. Odłupuje się i odpada płatkami, kiedy ona zaciska pięści. Zauważa zieloną skrzynkę pierwszej pomocy na ścianie, otwiera ją i wyjmuje płyn do przemywania ran. Zwilża nim sterylny kompres i zaczyna ścierać to, co najgorsze, czując, jak zbiera jej się na wymioty.

„Krew Antonia Alvareza. Jest dosłownie na moich rękach”.

Większość ludzi odeszła, gdy Antonia odwieziono do szpitala. Kim widzi Carla Ackermanna owiniętego kocem i sanitariusza zajmującego się kostką Johna i jego raną postrzałową. John klnie na niego, mówi, że musi ruszać dalej, a Kim zastanawia się, dokąd mu się tak spieszy.

Mona przesłuchuje Carla, podczas gdy Juliette rozmawia z ochroniarzami Ackermannów, którzy są nieporuszeni jak kamienne posągi. Kim przypomina sobie poranną przerwana sesję terapeutyczną. Wydaje się, że to było wieki temu. Ta kobieta będzie twardym orzechem do zgryzienia, Kim chce się o niej więcej dowiedzieć. Superglina, która nocą chodzi we śnie.

Axel Luo i Valle pojechali na posterunek po sprzęt do zabezpieczania śladów. Wszystko trzeba zebrać, zbadać i dokładnie opisać, mimo że cały ten dramat odbywał się na oczach wszystkich Szwedów. Kim spogląda w stronę huty, ciężkiej i odpychającej, sprawiającej wrażenie, że też na nią patrzy. Wiele osób zginęło z powodu przeklętej stali, która jednak jest motorem napędzającym tę dziurę. Bez tego zakładu December trudno byłoby nazwać miastem.

Antonio ma rację. Ackermannowie to czyste zło, muszą za to wszystko odpowiedzieć. Kim nie wyobraża sobie, jak mogliby się z tej sytuacji wywinąć.

Ochroniarze zostali zwolnieni i podchodzą do Carla. Zabierają go ze sobą, a on rzuca spojrzenie Kim. Sprawia wrażenie zrezygnowanego, a Kim nie wie, co ma o tym myśleć.

Uporządkowanie tej sprawy zajmie trochę czasu, Kim ma jednak nadzieję, że Ackermannowie zostaną w ten czy inny sposób pociągnięci do odpowiedzialności.

John kuśtyka w jej stronę.

– Wszystko okej? – pyta, a jej robi się ciepło w środku. Sam wygląda, jakby stoczył walkę ze wściekłym łosiem, jest postrzelony w bark i ledwo chodzi, a jednak niepokoi się o nią.

Kim wzrusza ramionami.

– Potrzebuję się przespać, wypić litr lagavulinu i... ech, sama już nie wiem.

– Podwieziesz mnie do szpitala?

John wygląda jak wrak człowieka. Krzywi się okropnie przy każdym kroku, jest cały w plastrach i bandażach, a włosy sterczą mu na wszystkie strony jak bierki. Na dworze deszcz się uspokoił i tylko sporadycznie kapie tu i tam do głębokich błotnistych kałuż, które utworzyły się po porannym oberwaniu chmury. Tak jakby stanowił tylko scenerię spektaklu, który już się skończył.

– Teraz? Trzeba ci coś zszyć?

– Nie, nic z tych rzeczy. Ja... zamknąłem Kurta w szafce.

– Co takiego?

– Mogę opowiedzieć w samochodzie, ale mam go w garści. Muszę tam jechać.

Kim podnosi się ze zmęczonym uśmiechem.

– Pewnie, czemu nie, czy mam coś innego do roboty? Chodź, ruszamy. Podpiera Johna. Podchodzi do nich Mona.

– Chcę was jutro rano widzieć na posterunku, musicie napisać raport. Teraz jedźcie do domu i odpocznijcie. Dobra robota, jedno i drugie, ale słuchaj, Kim... jeśli jeszcze raz wykręcisz taki numer, obiecuję, że zamknę cię w areszcie i wyrzucę klucz. Rozumiemy się?

Kim chce coś powiedzieć, ale zdaje sobie sprawę, że lepiej odpuścić, kiwa więc tylko głową.

W samochodzie zaczyna czuć się nieprawdopodobnie pusta w środku i bezsilna. Wykończona. Tak jakby zaraziła się gorączką Alvareza.

„Czuję się tak, jak John wygląda”.

Śmieje się.

– Co jest?

– Od czasu, gdy przyjechałeś do miasta, wszystko się wali – mówi. – Tak jakbyś obudził śpiące niedźwiedzie. Albo cholernego górskiego trolla.

– Taki już jestem.

– Spójrz na nas, wyglądamy jak ofiary losu.

Nagle wybuchają śmiechem, jakby te słowa ich wyzwoliły. Rechocą wniebogłosy, żeby przykryć wstrząs, smutek i wszystkie okropności. Po jakimś czasie przestają, a Kim zaczyna mieć wyrzuty sumienia.

– Dziś zostali ranni ludzie – przypomina.

– Wiem. Pieprzeni Ackermannowie.

Kim opowiada historię Antonia o Stjärnebro, raku i arszeniku. O wszystkich, którzy umarli.

– Pieprzeni Ackermannowie – zgadza się John.

*

Johnowi łzy napływają do oczu, kiedy Kim bierze go za rękę.

– Dziękuję, że być może uratowałeś mi życie – mówi.

Jej dotyk jest jak oparzenie, ale John się nie odsuwa.

– Dałem ciała.

– Zamknij się, nie wiesz tego.

– Zamknij się?

– No wiesz, rozumiesz.

– Może powinnaś rozważyć karierę psycholożki.

Kim uśmiecha się, a John odдыcha z ulgą. Dobrze mieć przyjaciółkę. Dawno już tak się nie czuł. Patrzy przed siebie, nie śmie spojrzeć jej w oczy, żeby nie zobaczyła, co w tej chwili do niej czuje.

Przez resztę podróży milczą. Oboje są zatopieni we własnych myślach. Im bliżej jednak są szpitala, tym bardziej myśli Johna kierują się ku temu, co tam na niego czeka. Kurt Strand, trop, który może mu dać odpowiedź na pytanie, co stało się z Sarą i Mattiasem. Wszystko znów wywraca się do góry nogami.

Jest niemal wdzięczny, kiedy naciska kostkę tak, że niemal krzyczy z bólu. Łatwiej skupić się na tym niż na wszystkim innym, co tłucze mu się po głowie.

*

Kim spogląda z ukosa na Johna i zauważa, że im bliżej mają do szpitala, tym bardziej on wydaje się nieobecny. Chwyta mocniej kierownicę, jej własne myśli biegną w różne strony.

Zanim wejdą do windy, by zjechać do piwnic, John dostaje kule. Kim coraz bardziej się denerwuje.

A co, jeśli Sara rzeczywiście przeprowadziła się do Kurta? Jeśli był jej młodzieńczą miłością, której nigdy nie zapomniła? Albo jeszcze gorzej... może ją znajdą i Sara i John znów będą razem. A co, jeśli... ogarnij się, strofuje samą siebie i zaczyna ją boleć brzuch.

Wysiadają z windy. Czują mieszankę zapachów pyłu i farby. Tu i tam widać pracujących robotników. Dźwięk maszyn przypomina strojącą się orkiestrę symfoniczną, a John spieszy się tak, że niemal się potyka. Czy pozna prawdę?

„Czy ja ją poznam? Czy tego chcemy?”

Wchodzą do szatni i John staje jak wryty. Otwiera usta ze zdumienia i głośno przeklina. Podchodzi do szafki i zagląda do niej. Zatrząskuje kilka razy drzwiczki, nie posiadając się z wściekłości.

– Te, czy to ty zamknąłeś kołesia w szafce? – pyta głos z lekkim północnym akcentem, dochodzący od drzwi za nimi.

– Gdzie on, kurwa, jest?

Budowlaniec potrząsa głową.

– Co za debil, nie możesz przecież tak sobie zamykać ludzi. Zwariowałeś? Wypuściliśmy go, kiedy usłyszeliśmy, jak wali.

John, kuśtykając, rusza do przodu, ale Kim zatrzymuje go, zanim zdąży zrobić coś głupiego.

- Nie wiesz, co mówisz - syczy John z nienawiścią w oczach, a robotnik szybko się oddala.

John siada na ławce. Wygląda, jakby wszystko stracił. Uderza powoli tyłem głowy o szafkę, a Kim kładzie rękę na jego barku.

- Jeszcze go znajdziesz. December to nie Sztokholm - mówi, ale on prycha.

- Albo i nie, i nigdy nie znajdę Sary i Mattiasa.

Kim trochę się cieszy, że Kurta tu nie ma. Ale generalnie współczuje Johnowi. Tak jak ona, on też musi znaleźć jakieś zamknięcie, zanim życie będzie mogło potoczyć się dalej.

Kim musi kiedyś wreszcie dorwać swojego byłego, Nilsa.

„Pewnego dnia odbiorę to, co moje”.

34

W milczeniu jadą windą w górę. Żadne z nich nie ma pewności, jaki temat w tej chwili poruszyć. Który będzie najmniej bolesny. John widzi to po Kim. Że jest... może nie zdenerwowana, ale... ostrożna? Uważa na słowa. John zdaje sobie sprawę, że przed chwilą, kiedy miał ten wybuch w szatni, mogła się przerazić. Ma ochotę dać sobie po pysku.

„Co ona mi zrobiła? Poza tym że mi pomogła. I znowu pomogła. I jeszcze raz”.

Spogląda na Kim, która wpatruje się w paznokiec z wyraźnym śladem zaschniętej krwi. Robi, co może, żeby go usunąć. Usta ma mocno zaciśnięte, a włosy splątały jej się na karku.

„To ja ją w to wciągnąłem”.

Gdyby wiedział, że ona zamierza rzucić się w objęcia szaleńca, w życiu by tego nie zrobił. Nie zadzwoniłby do niej z prośbą, żeby się w to włączyła.

„Na pewno bym nie zadzwonił? Kurwa mać”.

Odchrząkuje. Podpiera się kulami. Są już na parterze, znów się jej przygląda.

– Mam na policzku zaschniętego gluta czy co? – pyta Kim cicho, uśmiechając się kącikiem ust.

– Eee... nieee...

Wysiadają z windy, a John nie bardzo wie, co robić, aż nagle wpada na to, jaki temat będzie teraz najlepszy. Ręce Kim. Krew na nich. Jest sposób, żeby ukoić chociaż część jej traumy.

„I może mojej też...”

Odwraca się w jej stronę i znajduje w głosie nowe siły.

– Słuchaj, skoro już tu jesteśmy...

Spojrzenie Kim w sekundę staje się bardziej przytomne. Tak jakby dokładnie wiedziała, co on chce powiedzieć, może sama chciała to poruszyć, ale nie miała śmiałości.

– Tak?

– Może pójdziemy zapytać, jak się ma Alvarez?

Na jej twarzy pojawia się szeroki, pełen wdzięczności uśmiech. W jej oczach znowu pojawił się błysk.

– Powinien leżeć na OIOM-ie, prawda?

Wraca do windy i przytrzymuje przycisk otwierania drzwi.

– Na trzecim piętrze, na co czekasz?

John się śmieje.

– No wiesz, jestem kuternogą.

Kim rzuca mu figlarne spojrzenie.

– Potrzebuje pan pomocy?

John znów parska śmiechem i wraca do windy.

– Uważaj, młoda damo. Do policjanta nie można tak bez szacunku.

Drzwi się zamykają, a Kim wciska guzik z trójką.

– Ojoj, to może musisz mnie ukarać...

Niewielka kabina nagle robi się ciasna, a powietrze gęste od niewyartykułowanych insynuacji. Na policzkach Kim pojawia się rumieniec.

„Cholera wie, może ja też się czerwienię” – myśli John i spuszcza wzrok.

Stoją sztywni i milczący, aż wreszcie drzwi się rozsuwają, ukazując plecy stojącego nieopodal Reného Hoffmanna, co daje im oboje pretekst do ucieczki z krępującej sytuacji.

– René! – woła Kim, ruszając przed Johnem, który musi w ślimaczym tempie poruszać się o kulach. – Poczekaj chwilę!

René staje i rozjaśnia się na ich widok. Jego twarz szybko jednak znów poważnieje.

– Cześć – wita ich. Wskazuje głową na przesiąkniętą krwią opaskę na ramieniu Johna. – Czy ktoś na to spojrział?

Policjant kiwa głową.

– Kula tylko mnie drasnęła. Wszystko w porządku.

René unosi brwi.

– Znowu? Czy nie zostałeś drażniony w drugie ramię zaledwie parę dni temu?

John nie wie, co powiedzieć, i do rozmowy włącza się Kim.

– Utrzymanie czegoś w tajemnicy w tym mieście to jakby przelewać wodę durszlakiem.

– Święte słowa – uśmiecha się René. – Zwłaszcza jeśli to tajemnica tak spektakularna jak postrzelenie. Co mogę dla was zrobić? Potrzebujecie zmiany opatrunków? A ty, Kim, jak się czujesz?

Macha tylko ręką w odpowiedzi na jego troskliwe pytania.

– Chcemy się dowiedzieć, jak się czuje Antonio Alvarez – wyjaśnia. – To ten, który wziął zakładników.

René poważnieje.

– Widziałem i słyszałem, co zrobiłaś tam w hucie. To było bardzo odważne... i nierozsądne...

Kim znów macha ręką.

– E tam, John mnie uratował. To on jest ranny, a nie ja. No i Alvarez.

John znów czuje ciężar wyrzutów sumienia, kiedy René się mu przygląda. W ich stronę idzie asystent Harry.

– Ołmajgad – mówi. – A wy co tu robicie?

– Dobrze zrobiłeś, strzelając – wtrąca się René, co skutecznie ucisza asystenta, który od razu milknie i wpatruje się w Johna szeroko otwartymi oczami.

Policjant kiwa głową.

– Miałem nadzieję, że powiesz nam, co z nim. Czy... no wiesz, czy przeżyje.

– Żyje? – wtrąca się Kim.

René patrzy na podkładkę do pisania, którą trzyma w rękach, i powoli kiwa głową.

– Jak na razie wszystko wygląda obiecująco. Stan jest poważny, ale stabilny. Wciąż śpi po operacji, dopiero się skończyła.

– Więc nie będziemy mogli z nim teraz porozmawiać? – pyta Kim.

– Więc przeżyje? – wchodzi jej w słowo John.

– Z tego co widzę, wyjdzie z tego, o ile nie pojawią się jakieś komplikacje. Ale... on nie jest w najlepszym stanie. Widziałem jego dokumentację ze Sztokholmu i jest to dość straszna lektura. Jeśli przeżyje, to zostało mu najwyżej parę tygodni. I rozmowa z nim – odwraca się w stronę Kim – jest w tej chwili zupełnie wykluczona, bo śpi.

John czuje, jakby ktoś zdjął mu z barków wielki ciężar. Tak jakby siedziała tam banda diabłów szepczących mu do ucha, że jest mordercą. Takim, który zastrzelił człowieka niewątpliwie oszalałego ze smutku. Słowa Reného skłoniły ich przynajmniej, żeby zrobiły sobie przerwę.

– Kiedy możemy znów przyjść?

René znów patrzy na podkładkę i wzrusza ramionami.

– Trudno powiedzieć. Na pewno pośpi jeszcze kilka godzin. Możecie spróbować jutro, ale niczego nie mogę zagwarantować.

John patrzy na Kim, której również ulżyło. Nie mają tu teraz nic do roboty.

– Jak sądzisz, John? – pyta po chwili. – Damy sobie spokój na dziś i wrócimy jutro z nowymi siłami?

– René, przygotowałem wszystko. Somkiat Anurak jest gotowa do obdukcji – mówi Harry.

– Zapraszam jutro. Ale na waszym miejscu zadzwoniłbym wcześniej. Żebyście nie jechali na próżno – radzi René, po czym rusza z Harrym do windy.

John czuje, jak wczorajsze i poranne wydarzenia wysysają z jego ciała siły i ciągną go w dół, tak jakby siła grawitacji nagle się podwoiła.

– Dobra – mówi. – Możemy do tego wrócić jutro.

Nagle coś mu jednak przychodzi do głowy i zatrzymuje lewym ramieniem drzwi windy.

– Nie! Czekaj!

Kim patrzy na niego zaskoczona.

– Słuchaj – zagaduje John lekarza, gdy drzwi otwierają się ponownie. – Widziałem tu dziś w szpitalu Kurta Stranda. Czy to jego siostra leży na onkologii?

René kiwa głową.

– Tragiczna historia. Rak krwi w czwartym stadium. Ale on jej nie odwiezła.

– Kolejna tragiczna historia raka w December i okolicy – stwierdza Kim sarkastycznym tonem.

– Ale dlaczego wcześniej o niej nie wspomniałeś? – pyta John.

René wzdycha.

– To nie jest oficjalne śledztwo, prawda?

John spuszcza oczy. Nie odpowiada.

– No właśnie. A więc mamy tu tajemnicę lekarską. Ella Strand nie wyraziła zgody na opowiadanie ludziom, że tu jest, a jeśli nie pytasz jako policjant, to jesteś po prostu zwykłym człowiekiem. Przykro mi, ale zasad trzeba przestrzegać.

John wie, że lekarz ma rację, chociaż bardzo go to frustruje, rzuca więc tylko:

– Kurwa mać.

– A szukałeś tego przyjaciela, o którym ci mówiłem? – pyta René, pewnie po to, by zdjąć z siebie brzemię, a jednocześnie trochę pomóc.

John przypomina sobie nazwisko z kartki. Nazwisko, które René dał mu wcześniej, kiedy tu był i zadawał mu pytania.

– Jeszcze nie.

– To ja bym od tego zaczął. Z tego co wiem, są najlepszymi przyjaciółmi. Może on ci wskaże drogę?

Kim chwyta ramię Johna, żeby drzwi windy mogły się wreszcie zamknąć.

– John, jutro. Muszę iść do domu i odpocząć, a ty też.

Kiedy metalowe drzwi się zamykają, John widzi w nich niewyraźne odbicie własnej sylwetki. Włosy sterczą mu na wszystkie strony. Koszulę ma podartą, a opatrunek na barku całkowicie przesiąknął krwią. Widać wy-

brzuszenie na drugim ramieniu od opatrunku, który zrobiono mu wcześniej. Ciemne wory pod oczami. Kule i lekko podniesiona nad podłogę stopa. Wydaje z siebie chrapliwy chichoczący dźwięk.

- Okej, okej - mówi. - Masz rację. Jutro.

35

Kiedy Antonio próbuje otworzyć oczy, cały świat wiruje. Musi kilka razy mrugnąć, żeby zatrzymać karuzelę, a wtedy wspomnienia ustawiają się w kolejce, żeby wyjaśnić mu, co się stało.

Huta. Zakładnicy. Benzyna. Psycholożka. Ackermannowie. Ekipa telewizyjna. I na koniec strzał, kiedy do pokoju wchodzi jakiś mężczyzna. Na tym wspomnienia się kończą.

Rozgląda się po pokoju, ale jest tak wykończony, że ledwo może unieść rękę. Raz na jakiś czas za nim coś piszczy. Najlepszym tropem jest zapach. Jest w szpitalu. Łóżko z poręczami, wenflony w ramionach, klips na palcu wskazującym. Kajdanki na przegubach, przypięte do łóżka.

„Kurde, żyję”.

Nie taki był plan. Antonio zawsze należał do tych, którzy uciekają od problemów. To Maria była twarda, brała wszystkie konflikty na klatę, a on ciągle nad wszystkim się zastanawiał.

W gardle mu zaschło, próbuje je zwilżyć, przełykając ślinę. Węzyk z tlenem łaskocze go w nos, on jednak nie może użyć ręki, by coś z tym zrobić.

Za oknem jest noc, w oddali widać księżyc w pełni. Zaraz październik. Ulubiony miesiąc Marii. Uwielbiała barwne jesienne drzewa i czyste, świeże powietrze. Lekki wiatr dmucha w okno i Antonio z tęsknotą przypomina sobie ich jesienne wieczory przy kominku, kiedy siedzieli i czytali sobie nawzajem książki przy świetle świec.

Wiszący na ścianie telewizor pokazuje obraz bez dźwięku. Reklama reality show Świat Wahlgren. Wygląda na to, że rodzina kupiła willę w Hiszpanii. Świat idzie naprzód, zupełnie nie przejmując się tym, co dzieje się w December.

Opowiedział swoją historię, ale i tak nie czuje, że w jakikolwiek sposób wygrał. To jego uznają za sprawcę, doskonale też wie, co Maria pomyśla-

łaby o tym, co zrobił. Nie należała do osób uważających, że cel uświęca środki. Zupełnie.

Łza stacza się mu po policzku, łaskocze w ucho i znika w poduszce.

Ma spękane usta, rak zżera jego ciało, a jemu bardzo się nie podoba fakt, że żyje i będzie musiał przechodzić przez ten cały koszmar.

„Dlaczego nie mogłem po prostu umrzeć?”

Patrzy na swoją pierś. Zrobili mu operację, ale nie czuje bólu. Na pewno w kroplówce jest morfina. Zastanawia się, co będzie pierwsze – proces czy zwycięstwo raka nad ciałem. Nie chce popełniać samobójstwa, bo wtedy pójdzie do piekła. Nie chce żyć, bo wtedy piekło przyjdzie do niego, ze wszystkimi pytaniami i nienawiścią ze strony innych ludzi.

„Czy było warto?”

Stawia to pytanie Marii, ale jej nie ma, więc nie odpowiada. Roni kolejną łzę nad nią... a może nad sobą.

W telewizji zaczynają się wiadomości, pokazują hutę w December. Antonio widzi siebie. Wygląda strasznie. Całkiem szalony. Zmęczone go-rączką oczy, gniew na twarzy, zakładnicy, a na koniec sanitariusze odwo-żący go do karetki.

Nic o Ackermannach. Tylko jego czyn, ani słowa o motywie. Nie udało mu się, a Maria, on i wszyscy inni nie zaznają sprawiedliwości. Kiedy mruga oczami, wyciskając łzy, pali go w gardle i piersi. Tętno rośnie, Antonio próbuje wstać, ale nie daje rady. Jego jedyna nadzieja to wyjść i za-atakować policjanta, który prawdopodobnie pełni wartę przed jego salą. Niech go zastrzeli. Antonio podnosi rękę, lecz kajdanki ją zatrzymują, poj-muje więc, że nigdzie nie pójdzie.

Zamyka oczy i próbuje zebrać siły. Ma nadzieję, że policja była w domku i widziała wszystkie dokumenty. Że dostanie je jakiś prokurator i wsadzi Ackermannów do więzienia.

Dowodów jest aż nadto.

On jednak wie, jak to się skończy. Ackermannowie się z tego wykręca, mają drogich adwokatów, którzy wszystko tak zamotają i zamącą, że nikt się w niczym nie będzie w stanie zorientować, a potem się wywiną.

Pozostaną tylko historie o wszystkich, którzy umarli, świat o nich zapomni po dwóch tygodniach, kiedy pojawi się kolejna sensacja. Szybki świat, który cały czas łaknie nowości.

„To nigdy nie była uczciwa walka. Nie wtedy, kiedy walczą tacy jak ja z takimi jak oni”.

Otwierają się drzwi i do środka wchodzi mężczyzna w czarnej skórzonej kurtce i równie czarnych skórzanych rękawiczkach. Nie wygląda ani na lekarza, ani na pielęgniarza. Zatrzymuje się przy łóżku i patrzy na pacjenta.

– Kim jesteś? – pyta Antonio chrapliwie.

Mężczyzna nie odpowiada. Wpatruje się w Antonia, nie okazując żadnych emocji, co wywołuje u niego dreszcz. Zdaje sobie sprawę, że ten człowiek nie życzy mu dobrze. Strach rozlewa mu się po piersi, jakaś część niego chce krzyknąć, ale jednocześnie...

W jego sercu toczą bój dwa uczucia. W końcu pozwala jednemu wygrać.

Kiedy mężczyzna rozgląda się po pomieszczeniu, bierze poduszkę i przyciska ją do twarzy Antonia tak mocno, że omal nie łamie mu nosa, Alvarez się odpręża.

„Wreszcie... nadchodzę, mi amor”.

Kim siedzi w fotelu przed kominkiem z mięciutkim, kosmatym kocem na nogach i kubkiem zielonej herbaty z kropelką whisky. Wokół niej leżą porozrzucone kartony z przewodniczki. Wcale nie tak wiele. Dwadzieścia pięć sztuk, tyle wystarczyło, żeby pomieścić całe jej życie.

„Poza tym wszystkim, co zatrzymał Parszywiec”.

Stuka w klawiaturę, szukając zdjęcia babci, które chce opublikować na Facebooku. Mija sześć lat od jej śmierci. Zawsze kiedy myśli o tym dniu, czuje jednocześnie smutek i radość. Bo mogła się pożegnać i trzymać babcię za rękę, kiedy przechodziła na drugą stronę.

Znajduje zdjęcie i przygotowuje wspomnienie, tak jak co roku. Nie po to, żeby zyskać kliknięcia i żeby wszyscy składali jej kondolencje i tak dalej. Facebook to jak pamiętnik. Jej tablica jest tylko dla niej i nikogo innego.

Pisze kilka linijek o swojej ukochanej babci i jej życiowych mądrościach, obiecuje sobie, tak jak co roku, że będzie żyć według jej dobrych rad. Jednocześnie wie, że tak nie będzie.

„Była lepszym człowiekiem ode mnie”.

Babcia kochała miłość, uważała, że to jedyne, co w życiu cokolwiek znaczy, i że o ile się ją ma, o tyle wszystko będzie dobrze.

Była naiwna, ale tak dobra i serdeczna, że stała się idolką Kim. Ludzie czasami jej współczują. W końcu nigdy nie знаła ojca, a matka zmarła, kiedy była mała. Ona jednak inaczej na to wszystko patrzy. Ojciec był oczywiście świnią, bo rozpląnął się w powietrzu od razu, jak mama zaszła w ciążę. A matka... zagubiła się w swoich lekach, aż w końcu odebrały jej życie. Nikt się już nigdy nie dowie, czy przedawkowanie było celowe, czy nie. „Ale to w sumie wszystko jedno” – myśli Kim. Miała wielkie szczęście, że mogła dorastać pod opieką ukochanej babci.

„I to, że nie urodziłam się z setką różnych wad z powodu uzależnień mamy”.

Kim wciska przycisk i zdjęcie babci pojawia się na ekranie. Przeciąga palcem po jej twarzy.

– Brak mi ciebie – szepcze i robi jej się ciężko na sercu, mimo że się uśmiecha.

Jest druga w nocy, Kim wypija łyk herbaty. Wie, że zaraz musi się położyć. O dziesiątej ma pierwszego klienta i nie chce mieć kaca ani być wykończona, ale ten dzień wstrzyknął jej tak dużo adrenaliny, że sen wydaje się niemożliwy.

Wchodzi na stronę patrolobywatelski.net i otwiera wątek o December, gdzie przez ten cały czas odbywała się dyskusja z setkami wpisów.

Zauważa swoje nazwisko i na chwilę traci oddech, ale odtyka się, kiedy zdaje sobie sprawę, że nikt nie wiąże Kim Cordell z użytkowniczką Bathory. Gratulacje oraz obrzucanie błotem Ackermannów. Kim się odpręża. Nikt nie wieszka na niej psów, raczej przeciwnie.

Ludzie odkurzyli i opublikowali stare artykuły o rodzinie Ackermannów. Piszą, że Antonio zrobił źle, a jednak słusznie. Kim nie ma teraz siły wszystkiego czytać, ale zatrzymuje się przy kolejnym wątku o tym, że w December została zabita kolejna kobieta, a jej mąż już siedzi w areszcie.

Ktoś w wątku rozwodzi się nad tym, jak to jest, że te wszystkie świny biorą sobie kobiety z Tajlandii, żeby potem je bić albo zamordować czy w najlepszym przypadku odesłać do domu, kiedy się nimi znudzą i znajdą sobie jakąś młodszą i głupszą laskę.

Jeden z komentatorów nazywa te morderstwa gorączką z December, Kim się wzdyga. W krótkim czasie dwie kobiety zostały zamordowane we własnych domach. Przez mężczyzn, którzy powinni je kochać.

W drugim wątku wciąż wałkowany jest temat zaginionych osób. Kim widzi, że użytkownicy zebrali praktycznie wszystkie informacje. Uwielbia swoich przyjaciół z forum. Czasami są jak magicy i w odróżnieniu od policjantów mają czas i wprost nieludzką motywację.

Żadnej z zaginionych osób nikt nie groził. Nie były powiązane z żadnymi wyrokami ani świadkami przestępstw. Z tymi zaginięciami nie

można było też skojarzyć ich bliskich. Zagadka wydaje się więc nierozwiązywalna, co tylko dodatkowo pobudza członków forum. Wszyscy tu nienawidzą tajemnic, a jednocześnie są od nich uzależnieni.

Odzywa się komórka. Kim patrzy zaskoczona na ścienny zegar, po czym odczytuje wiadomość.

„Nie śpisz? – pisze John. – Przy twoim imieniu jest zielona kropka”.

Kim uśmiecha się i szybko odpowiada.

„Nie śpię, ty też nie możesz zasnąć?”

Mija chwila, zanim nadchodzi odpowiedź.

„Nigdy jeszcze do nikogo nie strzelałem”.

Kim jest zaskoczona, ale w sumie to prawda. Większość policjantów rzadko musi używać broni, zwłaszcza śledczy.

„Rozumiem – odpowiada. – Ale go nie zabiłeś. To dobrze. Poza tym uratowałeś zakładników i mnie”.

„Może i tak. Widzimy się jutro?”

„Masz na myśli dziś?”

„Właśnie”.

John dodaje uśmiechniętą buźkę i serduszko, a Kim robi się ciepło w sercu. Waha się przez kilka sekund, zbiera na odwagę i odpowiada sercem, po czym bierze łyk herbaty.

Czyta jeszcze kilka postów i klika link do artykułu o Tajce. Adwokat mężczyzny oczywiście mówi, że jego klient jest niewinny i że ktoś podłożył zakrwawiony młotek w jego willi.

Kim parska i zamyka komputer. Co jest nie tak z mężczyznami? Nie potrzebuje odpowiedzi na to pytanie. Nie wszyscy mężczyźni i bla, bla, bla... Wątpi, czy John jest taki jak inni, ale z jej własnego doświadczenia przynajmniej wszyscy ci, z którymi się wiązała, byli na wskroś świniami.

„Tak jak Nils Bratt”.

Kiedy kładzie się do łóżka i opuszcza powieki, ciągle widzi Antonia i jego oczy. Robi jej się ciepło. Chciałaby kiedyś mieć takiego mężczyznę jak on. Takiego, który byłby gotowy zabić z miłości. Dla Kim cały ten dra-

mat z zakładnikami był zbrodnią namiętności. Znow przychodzą jej na myśl słowa babci.

„Liczy się TYLKO miłość”.

Odwraca się na drugi bok i jej umysł pogrąża się w mroku, kiedy znow myśli o gorączce z December. Nie daje jej to spokoju, ciarki przechodzą jej po plecach. Dwa morderstwa kobiet w krótkim czasie zazwyczaj oznaczają początek czarnej serii. Kim jest pewna, że może to zasiać ziarno w umysłach innych mężczyzn, co śmiertelnie ją przeraża.

– Może trzeba było zostać w domu i wypocząć? – mówi Mona Ott Öster, patrząc znacząco na kule Johna, kiedy ten wchodzi, kuśtykając, do poczekalni szpitala w December o dziesiątej rano następnego dnia.

„A może w ogóle nie powinienem brać tej roboty w December, może trzeba było zostać w domu i odpoczywać na przykład pięć lat” – myśli John. Nie wypowiada tego jednak na głos, tylko ruchem głowy wskazuje recepcjonistkę.

– Sprawdziłaś, w której sali leży?

Mona robi dziwną minę, a John po kilku sekundach pojmuje.

– No nie, co znowu? – wzdycha.

Brak snu czuje w każdym nerwie w ciele. Chociaż bardzo się starał, nie udało mu się zasnąć. Nawet po wzięciu jednej z pigułek, które mu zostały po ataku kamicy nerkowej sprzed kilku lat. Bole w kostce i barku dawały o sobie znać za każdym razem, kiedy obracał się w łóżku, ostatecznie musiał się poddać.

„No i wysłałem te wiadomości” – myśli i przypomina sobie, że jego kciuk zbuntował się i posłał do Kim serduszko, zanim zdążył się powstrzymać. Serce, które dostał w odpowiedzi, sprawiło, nie mógł spać przez co najmniej kolejną godzinę.

– Dostałam informację już w nocy, ale uznałam, że musisz się wyspać. A teraz jest jak jest, więc już się nie spieszy.

– O czym ty mówisz? – pyta John, wchodząc do windy.

Kiedy Mona naciska przycisk najniższej kondygnacji, gdzie znajduje się kostnica, zamiast trzeciego piętra, na którym jest OIOM, nagle pojmuje.

– Alvarez... nie dał rady?

Mona odpowiada ze wzrokiem wbitym we własne buty.

– Niestety nie.

Drzwi otwierają się i chłodne powietrze piwnicy wywołuje na ramionach Johna gęsią skórę. I znowu jest tutaj. Może powinien się przeprowadzić do tych cholernych szpitalnych lochów?

Drzwi do przedsionka z chłodniami są otwarte i Mona przejmuje inicjatywę.

– Dziękuję, że mogłeś nas od razu przyjąć – mówi do Reného Hoffmanna stojącego przy wyciągniętych noszach chłodni, na których leży bez ruchu sine martwe ciało Alvareza.

Asystent Harry zajmuje się czymś przy blacie z nierdzewnej stali na drugim końcu pomieszczenia, odwraca się tylko szybko i wita się, kiedy wchodzi.

– Co się stało? – pyta John, kuśtykając do noszy.

– Serce nie wytrzymało – wyjaśnia René. – W nocy. Nie było to tak całkiem nieoczekiwane, biorąc pod uwagę jego stan, ale...

– Jesteś pewien na sto procent? – przerywa John.

Oczy Mony się zwężają.

– Co masz na myśli?

– Alvarez narobił sobie potężnych wrogów w rodzinie Ackermannów. Czy nie jest to bardzo... dogodne, że jego serce stanęło, zanim zdążył złożyć zeznania? Przecież nie chodziło tu tylko o to, że wziął zakładników. Potencjalnie chodziło o znacznie większe rzeczy. O to wszystko, co opowiadał Kim o Stjärnebro, arseniku i całej reszcie.

– To co myślisz?

– Myślę, że ta rodzina spokojnie mogła wysłać kogoś, kto pomógł Alvarezowi przedostać się na drugą stronę Styksu, że tak powiem.

Napotyka spojrzenie Mony.

– Byłaś tu wczoraj. Widziałaś, jacy byli bezduszni.

– To możliwe – mówi Mona z namysłem. – Musimy obejrzeć monitoring z nocy, sprzed wejścia i recepcji na OIOM-ie. Bo na korytarzach kamer chyba nie ma?

René Hoffmann smutno kręci głową.

– Obawiam się, że w ogóle nie ma monitoringu.

– Jasne, że jest – zaprzecza John. – Sam widziałem kamerę przy wejściu i...

Teraz przerywa lekarz:

– Nie działa. Właśnie wymieniamy instalację. Może zauważyłeś, że w całym szpitalu panuje lekki chaos? Między innymi wymieniamy monitoring na nowocześniejszy. Zamówiliśmy nowy, ale w obecnej sytuacji na świecie, kiedy wszędzie brakuje podzespołów elektronicznych... – Wzrusza ramionami. – Nikt nie wie, kiedy przyjadą nowe. A te stare nie działają z nowym systemem.

– Ożeż kurwa. – Mona nie jest zachwycona.

– Mówiłem, to bardzo dogodne – przypomina John. – Ale można ustalić w trakcie sekcji, czy... coś mu się przydarzyło?

Pytanie to kieruje do Renégo, który z namysłem naciąga liliową lateksową rękawiczkę.

– Nie ma zewnętrznych oznak przemocy, jeśli o to ci chodzi. Tak samo jak w jego sali.

– Czy w takich sytuacjach nie używa się zwykle poduszki? – zastanawia się Harry zza swojego stołu, rzucając to pytanie bardziej w przestrzeń niż do któregośkolwiek z nich.

John kiwa głową.

– Czy to możliwe, że ktoś go udusił? – rzuca i czeka na odpowiedź Renégo.

Lekarz wzdycha.

– W normalnej sytuacji szukałbym wybroczyn, czyli małych punktowych krwawień naczyń włoskowatych, na przykład w oczach albo na twarzy, żeby spróbować stwierdzić śmierć przez uduszenie. Ale... wiesz...

Podnosi jedną z powiek i John zauważa, że całe białko jest intensywnie czerwone.

– Antonio Alvarez, jeśli mogę się wyrazić dość potocznie, to kłębek wybroczyn, ran, guzów i siniaków. Był ekstremalnie chory, a jego ostatnie godziny nie należały do łatwych, John. Ma wszystkie oznaki i jednocze-

śnie żadnych, zależnie od tego, jak na to patrzeć. Po prostu nie mogę zdecydować, co jest skutkiem jego śmiertelnej choroby, wydarzeń w hucie i być może uduszenia tej samej nocy.

Mona się prostuje.

– Musimy na wszelki wypadek zabezpieczyć salę, w której leżał i dokładnie ją zbadać. Wezwę Vallego i dopilnuję, żeby od razu zaczęli, postawimy też strażnika przed drzwiami, żeby nikt nie wszedł i nie zniszczył ewentualnych...

René smutno kręci głową i ucisza ją.

– Tam już jest posprzątane. Ciało zostało tu przywiezione o wpół do szóstej rano, a godzinę później był tam personel sprzątający. Nikt nie uważał sali za miejsce zbrodni. Przykro mi, Mona, ale... – robi nieszczęśliwą minę i wzrusza ramionami – już tam nic nie znajdziesz.

– Niech to szlag. – Mona tupie nogą.

– Domek myśliwski – mówi nagle John.

Mona podnosi wzrok.

– Co?

– Domek myśliwski, który znalazł Jimmy, kiedy kazałem mu poszperać w historii rodziny Antonia, było tam mnóstwo papierów i ten manifest. Jimmy zamknął to wszystko i z tego co wiem, właśnie teraz miał tamjechać Valle, żeby to obrobić. Musimy dopilnować, żeby te dokumenty zabezpieczyć.

Mona kiwa głową i naciska guzik na radiotelefonie zawieszonym na jej barku. Wzywa Vallego, ale nikt nie odpowiada.

– Valle, kurwa mać, zgłoś się. Słyszysz mnie?

Wszyscy troje czekają z niepewnymi minami. Harry układa instrumenty do operacji w równym rzędzie na tacy na swoim stole. John wpatruje się w powiekę Alvareza, która szybko się zamyka. Stopa Mony coraz mocniej stuka w podłogę. Radio wciąż milczy. Mija pół minuty i Mona znów podnosi je do ust, sprawiając wrażenie, że nie powie nic przyjemnego, wtedy jednak z głośnika wreszcie dobiega głos.

– Cholera – dyszy Valle. – Miałem radio w kieszeni spodni pod kombi-
nezonem. A teraz wpadło mi między gałęzie. Tak, Mona. Słyszę cię, od-
biór.

Mona zamyka na chwilę oczy, potrząsając głową.

– Jesteś przy domku Alvareza?

Westchnienie, które dobiega z głośnika, jest długie i głębokie.

– Tak – odpowiada Valle. – Jestem tu już od godziny, ale... – Milknie.

John zaciska powieki. Już wie, co Valle powie. Pieprzeni Ackermannowie, naprawdę im się udało?

– No, co jest? – pyta ostrym głosem Mona.

– Tego, co Jimmy znalazł wczoraj, dzisiaj zdecydowanie tu nie ma – od-
powiada Valle.

John naciska guzik swojego radiotelefonu.

– Ale miały być tam pudła, cała masa, z dokumentami, a do tego jego
pożegnalny manifest. Jimmy mówił, że przejrzanie tego wszystkiego zaj-
mie całe tygodnie.

– Pewnie tak. Ale dziś tego tam już nie ma. Jestem tu na miejscu i za-
bezpieczam oczywiście wszystkie możliwe ślady. Mamy na przykład na ze-
wnątrz ciekawy odcisk opon i częściowy odcisk buta w środku. Na
drzwiach są ślady włamania, na które nałożyłem mikrosilikon i może uda
się zdjąć odciski palców albo włosy. Jeśli nam się poszczęści. Ale te pudła
z papierami chyba dostały nóg.

John klnie i patrzy na martwe ciało Alvareza na noszach. Ma ochotę
głośno krzyknąć z bezsilności. Nie trzeba być Einsteinem, żeby wywnio-
skować, kto korzysta na tym, że Antonio Alvarez nagle rozstał się z ży-
ciem, a wszystkie dowody z domku rozplynęły się w powietrzu.

– Jebani Ackermannowie...

Juliette Cortas mija celę aresztu, niosąc w jednej ręce pączka, a w drugiej kubek kawy, kiedy ze środka woła ją Magnus Andersson. Wstaje i chwytą kratę brudnymi palcami. Skóra na jego twarzy jest opuchnięta i zaczerwieniona, a polarowa koszula w niebieską kratę wisi na nim krzywo. Śmierdzi kaczem i ubraniem przesiąkniętym dymem papierosowym.

– Julle. Proszę, możesz mi powiedzieć, co się stało?

Ton jego głosu jest jednocześnie proszący i rozkazujący.

W Juliette odwraca się do niego, cała wściekła.

– Co się stało? Mówisz poważnie?

Podchodzi tak blisko, że czuje zapach przetrawionego alkoholu i nocnego potu.

– Ostatni raz dałeś czadu, to się stało. Pieprzona świnió. Nie miałeś przestać pić? Czy to nie był warunek ostatniego zwolnienia? Kurwa mać. Powinniśmy byli cię zamknąć w pierdlu i wyrzucić klucz już za pierwszym razem, kiedy Somkiat zgłosiła przemoc.

Magnus Andersson blednie.

– Somkiat? Sommie? Ale... ale ja...

Puszcza kratę i cofa się o krok. Patrzy na swoje dłonie, jakby go zdradziły.

– Co... co z nią?

– Młotek, Magnus. Pojmujesz, jaki to ból? I to sześć ciosów. Kurwa mać!

Juliette z wściekłości zgniata pączka w prawej ręce. Nawalił się. Zabił swoją żonę. I nawet tego nie pamięta. A więc nie będzie mu stawać przed oczami przez całą wieczność? Kurwa mać... aby nie powiedzieć czegoś, czego nie da się cofnąć, albo po prostu nie wyciągnąć broni i nie przestrelić mu obu kolan, odwraca się na pięcie i szybko stamtąd wychodzi,

a marmolada kapie na posadzkę, robiąc fioletowe plamy. Prędszej czy później Bulten je znajdzie i wyliże.

Przy swoim biurku Juliette znów przeklina, wyjmując serwetkę z pudełka i oblizuje palce. Jej język trafia na obrączkę oura, więc natychmiast zaczyna myśleć o czymś innym. O czymś bardziej mrocznym.

Rozgląda się dookoła. Jimmy i Bulten jak zwykle siedzą w akwarium. Frank w recepcji odwała papierkową robotę. Valle, Axel, Mona i John załatwiają sprawy na mieście. Na posterunku jest spokojnie i cicho, nie licząc wycia Magnusa w celi. Juliette siada na krześle i wyjmuje z kieszeni telefon. Z gułą w gardle włącza aplikację oura i wstrzymuje oddech, kiedy ładują się dane z nocy. Gdy się okazuje, że cały czas była w domu i nie wybrała się na kolejną niepojętą lunatycką przygodę, oddycha z ulgą.

„Kurwa mać...”

Musi umówić kolejną wizytę u Kim. Kiedy ta powiedziała, że Juliette nosi w sobie dziedziczną winę, te słowa trafiły ją prosto w serce. Tak jak to często bywa z prawdą. Ostra jest ta kobieta. A jednocześnie w pewien sposób miękka. Chociaż wydaje się zupełnie oczarowana tym pieprzonym kowbojem Johnem Wagnerem. Juliette musi jednak niechętnie przyznać, że w ostatnim czasie bardzo się przydaje na posterunku. No, ale jednak... jest cholernym wielkomięskim przystojniaczkiem, a ona nie zamierza dać się oszukać jego urodzie, co najwyraźniej spotkało Kim.

Wyrzuca upačkaną marmoladą serwetkę do kosza i właśnie ma zadzwonić do Kim i uzgodnić termin wizyty, kiedy po całym posterunku rozlega się wrzask Magnusa Anderssona, podrywając wszystkich na nogi.

– Co ja, do kurwy nędzy, zrobiłem?

John przez cały dzień wędrował po melinach ćpunów, polując na Mullego, kumpla Kurta. O kulach chodzi wolno, ale z kostką z każdym dniem jest lepiej. Rany na lewym ramieniu i prawym barku szybko się goją, co zdaniem Johna należy zawdzięczać wszystkim tym suplementom, które bierze. Teraz potrzebuje już tylko jednej kuli, a René mówi, że to zwicnięcie, a nie złamanie, chociaż John wciąż ma wrażenie, że stopa jest całkiem bezwładna.

Powinien tak naprawdę odpoczywać, dobrze o tym wie, ale coś pcha go do działania. Powietrze jest świeże i orzeźwiające, a niebo irytująco pięknie błękitne, kiedy staje przed czterokondygnacyjnym budynkiem z brązowej cegły.

„Czy powinienem tam wchodzić sam?”

Wszystkie tropy prowadzą w to miejsce, do starego przemysłowego budynku na południowym krańcu miasta. Kiedyś te okolice tętniły życiem. Huta przyciągnęła do siebie nowe branże, podwykonawców, którzy opletli miasto jak ramiona ośmiornicy i mieli tylko jednego klienta.

Ackermannów.

Kiedy rodzina postanowiła znaleźć tańszych podwykonawców za granicą, zbankrutowało jakieś dwadzieścia firm z całego December. Pozostał szkielet, do którego wprowadzili się narkomani i bezdomni. Wielu pracowało wcześniej w przedsiębiorstwach, które upadły.

Jakaś mewa próbuje wyrwać plastikową torebkę z odpadkami z wypełnionego kosza na śmieci i skrzeczy, kiedy John, kulejąc, mija ją i wchodzi do czterokondygnacyjnego kompleksu z przylegającym do niego warsztatem mechanicznym. Odgłos jego kroków odbija się od ścian pokrytych graffiti i wierszami o śmierci i życiu.

Gdzieś kapie woda, mimo że przez cały dzień świeciło słońce, a do tego jest wyjątkowo ciepło jak na tę porę roku. Oczy Johna stopniowo

przyzwyczajają się do mroku i im głębiej wchodzi, tym więcej ich widzi. Dzieci nieszczęścia.

Od samego przebywania tutaj traci energię i dobry nastrój. Materace, strzykawki, śmieci, które są czyimiś skarbami, mieszają się z brudnymi ludźmi o oczach, w których zgasła wszelka nadzieja.

Przechodzenie z pokoju do pokoju i patrzenie na tę nędzę jest przytłaczające. Najgorsze są dzieci. Bardzo by się tu przydały służby socjalne, ale boją się tu nawet wejść. Nie bez policyjnej eskorty, ale na to przecież nie ma funduszy.

Dzielnica Lyckan jest jak maleńkie miasto. Mieszkają tu ludzie, których nie widać, tworzący własny system społeczny. Tak przynajmniej powiedział ćpun, którego godzinę temu przycisnął w jakiejś melinie.

Marcus „Mulle” Sten należy do tej grupy i podobno ma tu gdzieś być. John podejrzewa, że mieszka tu też Kurt, raczej tutaj niż w przeznaczonym do rozbiórki domu przy bazie wojskowej.

Może gdzieś tu w pobliżu siedzą zamknięci Sara i Mattias.

Na samą tę myśl zaczyna kuśtykać szybciej. Nie ma pojęcia, dokąd iść i z kim rozmawiać, ale liczy na to, że poprowadzi go instynkt policjanta.

– Pieprzony gliniarz – rzuca starsza kobieta, plując za nim, kiedy wychodzi znów na korytarz po sprawdzeniu któregoś z pomieszczeń.

Jej oczy są równie martwe jak inne, które wcześniej widział.

– Cześć – próbuje John i się uśmiecha, ale kiedy staje za nim trzech mężczyzn z gazrurkami, poważnieje. Są chudzi i wycieńczeni. No ale jednak. Trzech gości z rurkami przeciwko jednemu z kulą. John nie ma większych szans. Jeden z mężczyzn uśmiecha się krzywo, ujawniając ziejącą jamę tam, gdzie powinny być przednie zęby.

– Znikaj albo oni się tobą zajmą – mówi kobieta chrapliwym głosem, pokazując głową za siebie.

Ma długie, siwe i poskręcane włosy. Twarz pokrytą zmarszczkami i bruzdami jak wyschnięte koryto rzeki, ale twardą jak kamień. Zdecydowaną. Nie ma wątpliwości, kto tu rządzi.

„To właśnie z nią muszę porozmawiać”.

– Nie jestem tu po to, żeby z wami zadzierać. Przyszedłem prywatnie. John czuje się nagi bez pistoletu. To był jednak głupi pomysł.

„Muszę w poniedziałek zaliczyć ten piekielny test na strzelnicy”.

– Wiecie, że musicie mnie najpierw pytać – mówi stara, podnosząc podbródek. Jest w niej coś jakby znajomego, ale John nie potrafi dokładnie wskazać co.

– Co to znaczy?

– Aha. Jesteś tu nowy, co?

– Totalnie – potwierdza John, czując się bardzo niepewnie.

Ktoś zachodzi go od tyłu, John czuje nagle coś twardego i zimnego na karku. Podnosi ramiona i kula upada przy jego boku, przenosi ciężar ciała na zdrową stopę i daje się przeszukać. Ręka wsuwa się do w kieszeni kurtki i John prawie krzyczy, kiedy goryl wyciąga karty tarota i obraca je w rękach.

„Jeśli będę robił problemy, to już nie żyję”.

Jego żołądek ściska się we wściekłą czerwoną kulę, gdy mężczyzna przygląda się kartom, a potem na szczęście wkłada je z powrotem do jego kieszeni. To coś twardego znika z karku i człowiek cofa się o parę kroków.

Kobieta podchodzi do niego. Są w niej siła i godność, mimo że jej ubranie wydaje się równie stare jak ona sama. Wytarty szary płaszcz, który kiedyś był pewnie drogi, bawełniana rękawiczki z odciętymi palcami, bufiaste spodnie i stare wojskowe buciory.

– Co ty tu robisz?

– Nie chcę nikomu robić kłopotów. Szukam żony i syna.

– Wydajesz się dziany, dlaczego miałoby tutaj być? Uciekła od ciebie?

– Nie, została porwana.

John rozważa swoje możliwości, ale wynik jest marny. Może próbować uciec albo się bić, ale ich jest zbyt wielu.

– Wątpię. Jesteś jednym z nich, prawda?

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Jak się nazywa twoja żona?

– Sara, a mój syn Mattias. Szukam Mullego i Kurta.

Kobieta nie zareagowała na pierwsze z tych imion, natomiast na ostatnie tak.

– Spadaj stąd. Nie ma tu nic dla ciebie.

– Sorry, ale nie. Musiałabyś mnie zabić.

Stara śmieje się chrapliwie.

– No nie, raczej myślę, żeby ci połamać ręce i nogi.

– Wtedy wrócę, przeprowadzę kolegów i będę wściekły. Potrafię być bardzo uparty i niemiły.

– No, na pewno.

Daje znak głową, a John krzyczy, kiedy otrzymuje od tyłu potężny cios w prawe udo. Pada na kolana. Spogląda na leżącą na ziemi kulę. Kiepska broń, ale jeśli sytuacja wymknie się spod kontroli, to jego jedyna szansa. Ignoruje ukłucie bólu w karku i robi, co może, żeby udawać spokój.

– Nie mamy sobie nic do powiedzenia. Mało mnie obchodzi, co tu robisz. Chcę tylko porozmawiać z Mullem. Obiecuję. Nic innego. Nic do niego nie mam.

– Gliny zawsze robią problemy – mówi kobieta, opierając się o ścianę i zapalając papierosa.

John widzi po niej, że miała w życiu nielekką, trochę wygląda na ćpunkę, ale jest zbyt bystra, żeby wciąż brać. John zgaduje, że przestała. Może pije. A może to tylko życie na ulicy tak ją wykańcza. Jeśli chodzi o wiek, może mieć równie dobrze pięćdziesiąt, jak i osiemdziesiąt lat.

– Proszę. Chcę tylko znaleźć moją rodzinę, okej?

Spojrzenie kobiety na ułamek sekundy mięknie, a potem znów twardnieje, jakby przywołała się do porządku.

– Nie ma ich tu. Idź już.

– Wiesz, że będę wracał, aż dostanę odpowiedzi.

Stara zaciąga się głęboko dymem.

– Może i tak, ale nie bez mojego pozwolenia.

– A jak mam je uzyskać?

Kobieta uśmiecha się drwiąco.

– Jesteś gliniarzem, więc nic z tego. Ja tu odpowiadam za wszystkich. Lyckan to strefa wolna od takich jak ty.

– Powinniście tu trochę odnowić – mówi John i już wie, co go za to czeka. Napręża mięśnie i rzeczywiście dostaje konkretnego kopa w plecy.

– Powinniśmy odnowić twoją twarz żelazną rurką – mówi kobieta z uśmiechem.

John odwzajemnia uśmiech, pokonując ból.

– Masz poczucie humoru. Podobasz mi się. Jak się nazywasz?

– Mówią na mnie Major. To ci wystarczy. Chłopcy odprowadzą cię na zewnątrz. Nie wracaj tu, Johnie Wagnerze.

John otwiera usta, ale nie jest w stanie nic wykrztusić.

„Skąd ona, kurwa, wie, jak...”

Major odwraca się i odchodzi korytarzem, a faceci z rurkami podchodzą do niego. Podnoszą go za ramiona i wleką po ziemi.

– Skąd wiesz, kim jestem? – woła za nią, ale kobieta znika w jednym z pokojów. – Proszę! Gdzie jest moja rodzina?

Nie ma odpowiedzi. Mężczyźni ciągną go w dół po schodach. Po drodze ludzie przyglądają mu się ciekawie. Niektórzy spluwają na ziemię, a John nie stawia oporu, kiedy wyrzucają go z budynku, a zaraz za nim jego kulę.

Jest teraz pewien dwóch rzeczy: Major coś wie, a on jeszcze się z nią spotka.

Kurt chodzi w tę i z powrotem po pokoju. John Wagner wie, gdzie jest. Chodzi plotka, że gliniarz tu był i Major chce rozmawiać z Kurtem. To nigdy nie wróży nic dobrego.

„Pieprzony John Wagner!”

Jest na ich łasce, a jeśli ściągną tutaj policję, to Major będzie chciała wiedzieć dlaczego. Tu ludzie znikają za drobniejsze rzeczy. Ta kobieta śmiertelnie Kurta przeraża.

Jeden z jej cholernych goryli stoi w drzwiach, kiedy na nią czekają. Kurt chce uciec, ale nie ma dokąd. Nie może pójść w góry, bo tam są milicja i ta popaprana sekta. Jego mieszkanie na pewno jest obserwowane przez policję, a poza Mullem nie ma już żadnych przyjaciół.

„A wygląda na to, że ten drań też zwiął”.

Kurt się poci, w brzuchu z niepokoju tworzy mu się twarda kula. Wykręca palce. Patrzy na swoją nędzę i wszystko, co teraz posiada. Śpiwór i torba z jedzeniem, kuchenka spirytusowa i butelka smirnoffa. Kurz, który zamienił się w brud. Czuje, jakby w jego duszę wkładał się jakiś wirus. Stapiający go z tym przeklętym miejscem. Musi się stąd wydostać, zanim wsiąknie na dobre.

A mógł być zawodowcem w NHL. Kontuzja kolana i całe życie wykonało gwałtowny skręt prosto do piekła. I powróciły czarne ptaki. Znów zrobiły z niego gniewnego Kurta. Tego, który nie potrafi trzymać się w ryzach. Często o tym myśli. Jak jego życie mogłoby wyglądać, gdyby nigdy nie pojechał na ten trening z seniorami.

Mieli wziąć z Sarą ślub, mieszkać w Stanach i pławic się w bogactwie. Mieć dzieci i życie, o którym większość ludzi może tylko pomarzyć.

„Byłem lepszy od Foppy”.

Kurt bierze ostatni kawałek snusu. Wie, że znowu będzie musiał zastać swój złoty łańcuszek, aż zarobi trochę kasy i mniej więcej stanie na nogi. Rzuca puszką po snusie w ką, skąd jakiś szczur ucieka z piskiem.

„Pieprzony John Wagner”.

Kurt podchodzi do brudnego okna i wygląda na zewnątrz. Widzi jakichś ludzi, którzy ruszają do miasta szukać miedzi. Wszystko, co znajdują, idzie do Major, która kupuje i sprzedaje. A poza tym ma pod swoją tak zwaną ochroną całe tereny przemysłowe Lyckan. Jest przedsiębiorstwem, które ich wszystkich kontroluje. Nazywają to wolnością, ale są bardziej udupieni niż wtedy, kiedy jak niewolnicy pracowali dla Ackermannów.

Po prostu zmienili nadzorcę.

– Kurciku!

Wzdryga się, słysząc jej ostry głos. Odwraca się i widzi, że stoi oparta o ścianę. Zapala papierosa, sprawia wrażenie, jakby rozkoszowała się władzą, którą ma nad nim.

– Ja nic nie zrobiłem – mówi Kurt, odchodząc od okna.

– Każdy coś zrobił. Dlaczego przychodzi tu gliniarz i o ciebie pyta?

– Bo jestem świadkiem. Chce mnie zabić.

– E tam, nie wygląda na takiego. Szuka swojej rodziny.

– Kłamie – rzuca Kurt nieco zbyt ostro. Goryl robi krok do przodu.

Major zatrzymuje go, podnosząc rękę.

– Słuchaj no, nie podoba mi się, że przychodzi tu gliniarz, dobrze o tym wiesz. Co masz wspólnego z jego rodziną?

– Nic! To pieprzony John Wagner coś zrobił. Ja tylko szukam Sary.

Major marszczy czoło.

– Mów dalej.

– Stałem przed ich domem, widziałem, jak się kłóca. Dwa dni później ona wraz z chłopakiem zniknęli.

– Może wyjechała. Zaczęła nowe życie. Nie byłaby pierwszą kobietą, która to zrobiła. Możesz mi wierzyć, o tym akurat wiem wszystko.

– Nie, przysięgam. To on. John Wagner zrobił jej coś, a teraz wie, że ja wiem. – Głos Kurta zmienia się w pełen lęku szept: – Chce mnie dorwać.

Major patrzy na niego sceptycznie i bierze bucha. Kaszle i wskazuje chłopcom Kurta.

– Nie, błagam!

Kurt cofa się do brązowej ceglanej ściany, jakby mogła mu pomóc. Podnosi ręce, kiedy pierwszy cios trafia go w brzuch. Upada na kolana.

– No, to zobaczymy.

Major bierze sobie krzesło i rozsiada się na nim, zakładając nogę na nogę.

– Wkrótce powiesz, co wiesz. Chcę wiedzieć wszystko o Johnie Wagnerze.

Jest piątkowy wieczór, wrzesień ustąpił miejsca październikowi, a w powietrzu wisi groźba opadów śniegu. John wie, że powinien zostać w domu. Porządnie odpocząć po tym idiotycznym tygodniu z piekła rodem. A jednak idzie do Lyckoslanten. Kim napisała, że będzie tam wieczorem, a on, on...

„Jestem po prostu głupi” – myśli z uśmiechem i podciera się kulą.

Zatrzymuje się niedaleko studni w środku miasta i przygląda się księżycowi, który dziś nisko wisi nad December i górami. Przepiękny wieczór. Spokojny. Centrum miasta już poszło spać, nie licząc pubu Lyckoslanten.

Na balustradzie otaczającej studnię siedzi rudy kocur Chester, który należy do wszystkich i nikogo. Wpatruje się w niego swoim kocim wzrokiem, a w jego oczach odbijają się światła. Ławki w parku są puste. Dwie starzejące się pary, które tu zazwyczaj siedzą i się kłóca, najwyraźniej już zakończyły dzień. John zastanawia się, czy przesiadują tu przez cały rok.

Nieco dalej suche brązowe liście tańczą po chodniku, popychane pieszczotami październikowych wiatrów, które dziś są wyjątkowo miękkie.

John się waha. Czy na pewno ma iść do Lyckoslanten? Nie powinien zostać w domu i wreszcie odsapnąć? A przynajmniej pójść na posterunek, by dalej grzebać w tych wszystkich nowych tropach? A może pojechać do szpitala porozmawiać z Ellą Strand?

Coś jednak go ciągnie tam, gdzie zmierza, i nie może się zatrzymać. Chce się dowiedzieć, jak Kim się czuje. Nie widzieli się od dnia po wybrzyku Alvareza. To, co zrobiła, było odważne, ale w oczywisty sposób niebezpieczne. Może i jest psycholożką, ale mimo to może mieć poważną traumę. A może po prostu potrzebuje kogoś do rozmowy.

Kuśtyka dalej. Schodki prowadzące w dół do lokalu, który znajduje się w suterenie budynku będącego wcześniej siedzibą banku i firmy ubezpie-

czeniuowej, to prawdziwe wyzwanie. Udaje mu się jednak zejść i otwiera drzwi, a w nagrodę zastaje gwar i ciepłe światło. W pubie panuje wesoły i miły nastrój.

– John! – wita go zza baru Max i macha do niego ręką.

Policjant wchodzi i pokazuje coś za swoimi plecami.

– Miałeś tu włam?

Max nieco markotnieje, kiedy John wskazuje na kawałek tektury wstawiony w drzwi w miejscu, gdzie ktoś wybił szybkę.

– Tak. Parę dni temu. Ale chyba nic nie zginęło. Pewnie jakiś ćpun, którego ktoś wystraszył. Muszę więc sam pokryć straty.

Nie wygląda na zachwyconego.

– Miałeś szczęście, że nie skończyło się gorzej – odpowiada John, spoglądając na gości lokalu.

Max się uśmiecha.

– W takim mieście jak to ludzie sprzedający alkohol zawsze jakoś wyjdą na swoje.

Wskazuje na stolik na końcu sali.

– Siedzi tam, jeśli się zastanawiasz.

John czuje, jak jego twarz robi się gorąca.

– Tak?

Zmienia chwyt na kuli i zauważa, że spociła mu się dłoń.

– Wezmę piwo. Przynieś je do tamtego stolika, jeśli możesz. Trochę trudno mi teraz nosić rzeczy.

– Widziałem, co zrobiłeś. Tam w hucie. Możesz traktować tego browara i wszystko inne, co dzisiaj wypijesz, jak zapłacone i załatwione. Ale co ci się stało w nogę?

John dziękuje za taką gościnność i opowiada, że w czasie tej akcji zwichnął kostkę. W tym momencie wstaje kobieta z czarnymi włosami ułożonymi w loki rodem z lat pięćdziesiątych, odsłaniając Kim. Kobieta przytula ją, a potem podchodzi do Johna.

– Cześć – wita się. – Elin. Właśnie miałam iść, więc jest tam dla ciebie miejsce.

Wskazuje na stolik Kim, która podnosi rękę i macha do niego.

– Miło poznać – odpowiada John. – Ja...

Elin już odwróciła się jednak do niego plecami i wychodzi. John znów zwraca się do Maksa.

– Kim pije whisky, prawda?

– Lagavulin, jak zwykle.

– To weź jeszcze dwie. Czuję, że będziemy tego potrzebować w taki wieczór jak ten.

Kiedy John mozolnie przeciska się między beztroskimi gośćmi pubu, zauważa, że im bliżej podchodzi do Kim, tym jego kroki stają się lżejsze, a w brzuchu robi się coraz cieplej.

Kim wstaje i wyciąga krzesło, żeby ułatwić Johnowi zajęcie miejsca.

– Lekarz ci pozwolił iść w tym stanie do lokalu? – pyta z uśmiechem i siada naprzeciwko niego.

John uśmiecha się leciutko.

– Mój stan jest niestety trwały i najwyraźniej nic nie mogę z tym zrobić. Twoja koleżanka wydaje się fajna.

Wskazuje głową na drzwi prowadzące na ulicę.

– Elin? – uśmiecha się Kim. – O tak, jest fajna.

– Czy to ona ciągle pożycza twój samochód?

Do stolika podchodzi Max i stawia na nim piwo i dwie szklaneczki whisky. Kim posyła Johnowi pełne wdzięczności spojrzenie.

– Właśnie ona. Ma starą amerykańską furę, która ciągle się psuje. Mogłabym pomyśleć, że ma to jakiś związek z tym, że zakochała się na zabój w Viktorze z warsztatu. Czasami mam podejrzenia, że sama raz na jakiś czas specjalnie coś rozwała. Miłość jest taka świetna. Dla tych, którzy na nią zasługują.

Podnoszą szklaneczki i piją.

– Viktor, on dłubie w moim samochodzie. Mam go odebrać chyba w niedzielę. Ale co, zabujała się w mechaniku? Nie znają się?

Kim macha ręką z dłonią zwróconą w dół.

– Znają albo nie znają. On tu przyjechał z Bałkanów pod koniec lat dziewięćdziesiątych i szybko się zasymilował, bo Lasse Blacharz, który wtedy był właścicielem tego warsztatu, gdzie Viktor dostał swoją pierwszą robotę, zestarzał się i... trochę mu się zaczęło mieszać w głowie.

Potem nagle głośno się śmieje.

– Kiedyś Claire Olofsson zostawiła u niego swojego lexusa do jakiejś drobnej naprawy. Następnego dnia ta prawie nowa fura znalazła się na

złomie, a Lasse jakoś nie potrafił wyjaśnić, jak to się stało, poza tym że „musiał coś pomylić”. Po następnym zebraniu zarządu gminy postanowiono, że December pomoże Viktorowi, dając mu korzystny kredyt, żeby mógł wykupić warsztat i wysłać Lassego na zasłużoną emeryturę. A staruszek wciąż codziennie tam przychodzi, podpierając się swoim czerwoniutkim balkonikiem, żeby doglądać pracy Viktora, ale jemu to wcale nie przeszkadza.

John się śmieje i ściąga z siebie kurtkę. Bolał go ramiona.

– A czy ona nie powinna po prostu pójść do niego i powiedzieć, co czuje?

Kim podnosi szklaneczkę z whisky, przytyka ją do ust i wpatruje się w niego intensywnie. Nagle znów jest bardzo skupiona, wysyła oczami jakby promienie lasera trafiające go w samo serce.

– Jasne, że powinna...

John czuje guł w gardle. Wypija łyk piwa. Bawi się kurtką, którą wciąż ma na kolanach, a kiedy chce ją powiesić na oparciu krzesła, wypada z niej czarno-złota talia do tarota.

– Cholera.

Próbuje wstać, ale Kim jest szybsza od niego.

– Siedź, siedź. Ja podniosę – mówi i przykuca obok jego krzesła.

John czuje zapach jej szamponu i coś go zaczyna łaskotać w brzuchu. Kiedy Kim wraca na swoje miejsce, tasuje karty i patrzy na nie ze swego rodzaju szacunkiem. John powinien być... sam nie wie. Zły? Wstrząśnięty? Karty należą do Sary. To dlatego wszędzie je ze sobą targa. Bo wtedy czuje, że jest bliżej niej. A teraz siedzi tu Kim i ich dotyka. A jednak nie wywołuje to u niego nawet cienia gniewu. Przygląda się jej drobnym dłońmi i szczupłym palcom z polakierowanymi na rdzawy kolor paznokciami. Kim przekłada karty.

– Jak to się robi?

– W sumie nie wiem. Ja zwykle odkrywam jedną kartę.

Kim znów pije i kiwa głową zamyślona. Potem patrzy mu w oczy.

– Okej. Ja sprawdzę ciebie, a ty mnie, gotowy?

Zanim John zdąży odpowiedzieć, ona wyklada na stół trzy zakryte karty. Gdzieś w głębi pubu hałaśliwe towarzystwo wybucha rechetliwym śmiechem. Gazowy kominek po drugiej stronie lady migocze swoim miękkim światłem. John patrzy na karty. Czarne ze złocistym okiem rzucającym promienie w kierunku krawędzi. Czuje... nie to, czego się spodziewał. Pochyla się do przodu i odpręża. Uśmiecha się i już jest zadowolony, że tu przyszedł.

– No dobra, niech będzie – zgadza się i pociąga łyk piwa.

– Ale ty musisz mówić, co one oznaczają, albo sprawdzimy w internecie, bo ja nie mam o tym pojęcia – zastrzega Kim, zakładając włosy za ucho. – Jesteś gotowy?

„Jestem?”

Kiedy ich spojrzenia się spotykają, coś drży w brzuchu Johna. Kiwa jednak głową. Kim bierze pierwszą kartę i odkrywa ją. Przypatruje się jej w ciszy. John widzi, która to z nich. Ubrany na czerwono mężczyzna siedzący na tronie.

– Cesarz. – Kim marszczy czoło. – Co to znaczy?

Policzki Johna płoną, gdy wypowiada słowa, które zapadły mu w pamięć po tych wszystkich razach, kiedy sprawdzał znaczenie w wyszukiwarce.

– Oznacza władzę i przywództwo. To, że mam wolę i potrzebę przejęcia kontroli w... w relacji. Muszę jednak stawić opór osobistym uczuciom i oprzeć decyzje na faktach.

Kim otwiera szeroko oczy.

– Naprawdę? Dobra, dalej.

Odkrywa następną kartę i się śmieje.

– To przecież to samo, tylko dziewczyna?

– Cesarzowa – wyjaśnia John, czując lekką grozę. Tak jakby karty naprawdę potrafiły opowiadać o rzeczach, które powinno się usłyszeć. Albo mówią o tym, któremu się wroży.

– Oznacza kobiecą mądrość. Nawet jeśli coś wydaje się trudne, to można... mieć pewność, że coś się zmieni. A to oznacza, że trzeba poru-

szuć się przez życie na wycucie.

– Okej – potwierdza Kim. – Więc tu jesteś ty. – Wskazuje na Cesarza. – A tu ja.

Uśmiecha się leciutko.

– Ostatnia karta.

To tak nie działa, chce powiedzieć John. Ale w sumie, co on tam wie? Pochyla się więc tylko bardziej, gdy Kim odkrywa trzecią i ostatnią postać.

Mężczyzna w szarym płaszczu stoi samotnie, trzymając w ręce latarnię.

Co to takiego?

Kim czyta na głos.

– Pustelnik? Ale... co to może oznaczać?

John odchyła się na krześle. Zdaje sobie sprawę, że czekał na kartę kochanków. Przętyka ślinę.

– Ta mówi o strachu przed zdradzeniem tajemnicy. Trzeba dobrze się zastanowić przed dokonaniem wyboru. Konieczna jest też dyskrecja.

Kim parska i przygryza dolną wargę. Potem tasuje karty. Patrzy prosto na niego i wznosi toast szklaneczką.

– To chyba zdrowe, prawda? Ale kto ma tę tajemnicę, ty czy ja?

John bierze karty i chowa do kieszeni kurtki. Podnosi szklaneczkę. Coś mu mówi, że odpowiedź na to pytanie brzmi: jedno i drugie.

John spędził weekend samotnie w domku nad jeziorem Trollsjön, sam na sam ze swoimi myślami i uczuciami. Ciało jeszcze nie wróciło do zdrowia, ale przynajmniej wszystko idzie w dobrym kierunku. Wciąż jednak kuleje, kiedy w niedzielny wieczór wysiada z windy na drugim piętrze szpitala i powoli zbliża się do recepcji przy onkologii. Słodka dziewczyna za ladą już wie, kim on jest, i nie zadaje pytań, kiedy chce się dowiedzieć, w której sali leży Ella Strand. Zakłada po prostu, że to sprawa policji.

„I tak rzeczywiście jest, chociaż tu w December nie jest prowadzone aktywne śledztwo w sprawie Sary i Mattiasa” – myśli, ostrożnie otwierając drzwi.

W ciasnej sali stoi mnóstwo szarych maszyn, a na łóżku leży równie szara postać. Chuda kobieta o zapadniętych policzkach, z resztkami blond włosów. Otwiera oczy, kiedy John wchodzi, ale wygląda na zbyt słabą, by się zdziwić.

Policjant bierze krzesło i siada obok chorej, która ma pod nosem wężyk podający tlen i kroplówki podłączone do obu rąk. Na palcu klips mierzący... to, co powinien mierzyć. W sali słychać rytmiczny szum i popiskiwanie, a żółte zasłony, które miały wprowadzić tu trochę życia, sprawiają raczej, że skóra Elli wygląda jeszcze bardziej niezdrowo. W wazonie na stole przy oknie stoi bukiet na wpół zwiędłych tulipanów. Pewnie przyniósł je Kurt, kiedy tu był.

– Pani Ello – zaczyna John jak najłagodniej. – Nazywam się John Wagner i jestem z policji. Ale... jestem też ojcem... i mężem.

Kobieta otwiera szerzej oczy, potem marszczy czoło, jakby zupełnie się tego nie spodziewała.

– Policja... – mówi słabym, świszczącym głosem. – Jesteś tu z powodu Kurta?

John kiwa głową.

– Tak, ale on nic nie zrobił. Albo... sam nie wiem. Jeszcze.

– Nic nie rozumiem. – Kobieta spogląda na szklanę z wodą, z której wystaje różowa słomka. – Mógłby pan...?

John bierze szklanę i przytrzymuję słomkę, gdy Ella pije.

– Dzięki. – Kobieta zapada się głębiej w poduszkę. – To jak mogę pomóc?

– Nie wiem – przyznaje szczerze John. – Moja żona ma na imię Sara. Zaginęła już prawie trzy miesiące temu, razem z naszym synem, Mattiasem. Z tego co wiem, Sara i pani brat byli w młodości parą. Zostawiła go jednak, bo... stosował wobec niej przemoc?

John stara się, żeby to zabrzmiało delikatnie. Mimo to Ella zaczyna szybciej oddychać.

– Kurt stosował przemoc? – Na bladych policzkach Elli pojawiają się dwie czerwone róże. – Okej. Kurt może i miał problem ze swoim gniewem i kontrolowaniem impulsów, to prawda. – Robi przerwę i musi złapać oddech, zanim zacznie dalej mówić swoim świszczącym głosem: – Ale teraz czuje się lepiej. Wziął się w garść. Bo ona od niego odeszła. To mogło uratować życie mojego brata, bo ta pańska tak zwana żona zdecydowanie nie była właściwą partnerką.

John czuje się, jakby zamarzał. Czegoś takiego zupełnie się nie spodziewał. Ledwo rozumie to, co słyszy.

– Nie była właściwą... co to znaczy?

Ella Strand podnosi się na łokciach. Jedna z maszyn zaczyna piszczeć szybciej, a twarz chorej czerwienieje.

– Podjudzała go do wszystkiego. Wszystko, co robili innym, to były jej pomysły. To zawsze była ona. A Kurt... łatwo ulegał wpływowi. Pewnie myślał, że jest taka super albo coś. Potem, kiedy tylko uszkodził sobie kolano i jego przyszłość świetnie opłacanej gwiazdy sportu poszła się paść, ona zrobiła to samo. Ale jeśli kiedykolwiek zdarzyło się coś dobrego dla December, to właśnie to, że ta pieprzona psycholka postanowiła stąd zniknąć. Proponuję, żeby pan zrobił to samo.

Kiedy Ella Strand sięga po przycisk alarmowy, John, jękając się, dziękuje jej i wychodzi z sali. W jego duszy wciąż dźwięczą jej słowa:

„Podjudzała go. Wszystko, co robili innym. Jedyna rzecz dobra dla December to ta, że ta pieprzona psycholka postanowiła zniknąć”.

John traci oddech i mało co widzi przez łzy, które leją mu się z oczu, gdy powoli opuszcza szpital. Staje tuż za drzwiami i wdycha ostre powietrze. Wyjmuje z wewnętrznej kieszeni zdjęcie. Widzi uśmiech Sary, który nagle wydaje się chłodniejszy.

„Kim, do cholery, tak naprawdę była moja żona?”